Nr. 46. Poznań, Niedziela 17-go listopada 1895. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22. II p.
Administracya: Piekary nr. 6.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: Piekary 6. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.

Treść:

Antysemityzm austryacki.

Nie zagłębiając się w zawiłą i denerwującą kwestyę, dla czego Lüger nie uzyskał zatwierdzenia cesarskiego, albo jaką byłaby jego pozycya na przyszłej wystawie Peszteńskiej, lub wreszcie, w jaki sposób ów nieprzejednany wróg Węgrów mógłby reprezentować Wiedeń w ich stołecznem mieście i odbierać od nich honory należne godności nadburmistrza, zamierzamy zająć się pytaniem, czem w rzeczy samej jest antysemityzm austryacki, jakie przyczyny uwarunkowały jego tryumf w Wiedniu i jakie ma on na przyszłość widoki.

Powiedzieliśmy dopiero co, że właściwym naszym tematem jest antysemityzm *austryacki*. Z rozmysłem zakreślamy sobie tak ciasne granice. Ale bo też antysemityzm w Austryi posiada całkiem odmienny charakter, niż we Francyi, a tembardziej w Niemczech.

I dziwić się temu nie można. W żadnem z tych państw właściwa judofobia nie jest organiczną potrzebą narodu. Jeśliby gdzie nienawiść do żydów, a przynajmniej systematyczna z nimi walka, mogła mieć głębsze, ekonomiczne i historyczne podstawy, — to jedynie u nas w Polsce i na Węgrzech. Są to bowiem jedyne kraje, gdzie żydzi stanowią odrębną zupełnie klasę gospodarczą i wywierają decydujący wpływ na tok politycznych zjawisk. Dzięki wyłącznie żydowskiej burżuazyi i na wpół żydowskiej inteligencyi zawodowej posiadają dziś Węgrzy swe liberalne rządy, co choć umieją strzedz wolności sumienia i pracy, to jednak, gdy im tego potrzeba, potrafią topić w rzekach nieprzychylnych im słowackich wyborców. A my zawdzięczamy żydom nasamprzód brak narodowego mieszczaństwa, któreby mogło służyć za naturalną opokę silnego społeczeństwa, w dalszych zaś konsekwencyach uprzywilejowaną oligarchią, która zabierała w swe ręce kierownictwo wszelkich naszych patryotycznych ruchów i doprowadzała je zawsze do najokropniejszego fiaska.

Mimo to jednak nie słychać nic o antysemityźmie na Węgrzech lub w Polsce. Tam bowiem umieli się żydzi jakoś dostósować do Węgrów — a my znów przywykliśmy już do widoku żyda i jego specyficznej kultury.

Natomiast coraz to głośniej rozlega się bojowy okrzyk „Hejże na Izraela“ w Niemczech, Austryi i Francyi, gdzie żydów jest stosunkowo nie wiele i gdzie wywierają oni nieznaczny jedynie wpływ na rozwój życia publicznego, gdzie rozproszeni wśród różnych klas i warstw narodu wsiąkają w nie całkowicie, żyjąc ich kulturą i wyznając ich ideały.

I co dziwniejsza, wszędzie obwiniają żydów o co innego. W Niemczech przypisują im wszystkie szwindle i krachy, któremi kwitnie nowoczesna gospodarka, a zarazem zanik moralnego pierwiastku w życiu społecznem. We Francyi oskarzają ich o zmateryalizowanie narodu, co przekłada dziś ekonomiczne swe interesa nad Chrystusowe przykazania i honor narodowy. A w Austryi kładą na ich karb ruinę drobnego przemysłu.

Antysemityzm też posiada w każdem z tych państw wręcz odrębną fizyognomią, W Niemczech jest on monarchiczno-klerykalno-reakcyjny i walczy z wielką burżuazyą, prawdziwe pot-pouri najprzeróżniejszych tendencyi, we Francyi lubuje się w szowinistycznych frazesach i społecznych reformach w patryarchalnym duchu, a w Austryi jest wprost drobnomieszczański.

Wspólną mu jest we wszystkich krajach jedynie nienawiść do liberalizmu i żydowszczyzny.

Zkąd jednak wzięło się to dziwaczne zestawienie dwóch tak dziwnych pojęć? Nie uprawnia nas doń ani historya, ani też logika.

A przecież musi ono mieć swą raayę bytu i to nie lada jaką, gdy wyrosło w tak różnorodnych warunkach i stało się tak powszechnem.

I w rzeczy samej, chociaż pragmatyczne badania panujących stosunków społecznych każą nam uznać owo zasadnicze twierdzenie wszelkiego antysemityzmu za zwykły przesąd i aberracyę słabych umysłów, to przecież psychologiczna analiza współczesnych narodów jak najzupełniej objaśnia nam jego genezę.

Nowoczesny *wielkomieszczański* liberalizm zbankrutował dziś na wszystkich punktach. Nie stworzył on powszechnego dobrobytu, jak to obiecywał, nie dał ludom głoszonej przezeń niegdyś wolności i równości, a nawet nie zapewnił nam harmonii sił gospodarczych, którą się przed laty tak bardzo szczycił.

Swiadomość ta, że obietnice wielkomieszczańskiego liberalizmu spełzły na niczem, przenika z dniem każdym głębiej w duszę dzisiejszych społeczeństw. Nasamprzód stanął do walki z burżuazyą proletaryat miejski, organizując się w partyę socyalistyczną. Zgrupował się on pod sztandarem programu wręcz przeciwnego liberalizmowi, bo interesa jego są dyametralnie sprzeczne z interesami wielkiego mieszczaństwa.

Lecz inne warstwy ludowe nie zdołały tak szybko przejąć się zasadami walki klasowej. Zbyt wiele posiadają one z resztą narodu wspólnych celów, by mogły odrazu zerwać z ideą jedności narodowej. Uznając się za organiczną część społeczeństw, w skład których wchodzą, przekładają, przynajmniej w zasadzie, interesy całości nad swe własne dążenia. Konsekwentnie zaś nie umieją również posądzać innych o wyłączny egoizm klasowy.

Gdyby średnie warstwy ludowe były zdolne do abstrakcyjnego myślenia, w takim razie ideologizm ich nakazałby im w chwili niezadowolenia z dzisiejszych porządków winić samą zasadę wielkomieszczańskiego liberalizmu. Lecz masy nadają zwykle swym pojęciom nieco praktyczniejszy wyraz. Gdy im się źle dzieje, szukają one konkretniejszych winowajców, niż systemy i teorye społeczne. Tak też i w danym wypadku przeniosły swą nienawiść liberalizmu na żydów, jako najtypowszych jego reprezentantów.

Nie da się bowiem zaprzeczyć, że etyka liberalizmu, jakby umyślnie była stworzoną dla żydowskiej kultury. I nic w tem dziwnego. Wieki całe złożyły się na to, by w żydach wytworzyć wyłącznie kupiecką moralność, by wpoić w nich hołd dla materyalnej potęgi, nauczyć ich czcić powodzenie, pozbawić ich wszelkiego idealizmu. Dzisiejszy zaś liberalizm jest w rzeczy samej filozofią materyalnego bogactwa. Zrodziło go zwycięstwo pieniężnej siły nad powagą urodzenia i zasady transakcyi handlowych stały się jego etyką.

Choć więc własciwymi twórcami liberalizmu wielkomieszczańskiego są aryjczycy, — to przecież najlepiej się doń dostósowali żydzi. Ztąd to pochodzi okrzyczane zżydzenie naszej cywilizacyi. Handel, giełda, a w znacznym stopniu prasa i przemusł znajdują się dziś w żydowskiem ręku. Nie znaczy to jednak, by żydzi mieli zawładnąć sterem publicznego życia, kładąc swe piętno na najważniejszych jego przejawach. Bynajmniej, — potrafili się oni tylko lepiej od nas dostosować do wymagań dzisiejszej kultury, a raczej *a priori* już byli do nich dostosowani.

Mylą się więc antysemici, dowodząc, iż żydzi stworzyli liberalizm. Biorą oni przyczynę za skutek, a skutek za przyczynę. Wielkomieszczański liberalizm to bowiem oddał najważniejsze cywilizacyjne posterunki w żydowskie ręce.

Logiczny błąd antysemitów ma jednak — jak to już powiedzieliśmy — swą psychologiczną racyę bytu. Budzące się bowiem do samodzielnego publicznego życia, masy chłopstwa, drobnych mieszczan i najniższej kategoryi, robotników, — musiały nadać społecznej kwestyi ten właśnie, a nie inny obrót. Znienawidziwszy burżuistyczny liberalizm napadają oni na żydów, widząc w nich wcielenie zwalczanej przez siebie idei. I zależnie od specyalnych swych gospodarczych interesów, politycznych dążności i historycznych tradycyi winią one synów Izraela za to lub za owo. We Wiedniu kładą dziś na karb żydów ruinę drobnego przemysłu. Hołduje tam bowiem antysemityzmowi niemal całe drobne mieszczaństwo. Do niedawna jeszcze wiedeński rzemieślnik i drobny kupiec wyznawał gorliwie liberalne doktryny. Uważał on się za „bürgera“ stolicy, w zasadzie równego wielkiemu fabrykantowi. Złożyły się na to dwojakiego rodzaju przyczyny. Działała tu przedewszystkiem tradycya historyczna i wspomnienia z czasów, gdy Wiedeń sam jeden walczył w obronie europejskiego liberalizmu. A następnie przyczyniło się niemało i wyjątkowe położenie Wiednia, nie posiadającego ściślejszej styczności z resztą monarchii, którego wyłącznem niemal zadaniem jest rola cesarskiej rezydencyi. Ztąd to i separatyzm wiedeńczyków. Mieszkaniec habsurgskiego grodu nie jest Austryakiem ani też Niemcom. Jest on wprost Wiedeńczykiem.

I po za Wiedniem, we wszystkich krajach koronnych istnieją krawcy, szewcy, ślusarze, drobni majsterkowie i kupcy. Lecz kultura ich jest tak dalece różną od zwyczajów i upodobań wiedeńskiego „Spiessbürgera“, że mimowoli czuje on większą łączność z wiedeńskim finansistą, niż z czeskim lub polskim drobnomieszczaninem. — Póki więc tylko było to możliwem, solidaryzował się z wiedeńską burżuazyą i głosił liberalne hasła. Surowa jednak rzeczywistość zmąciła wreszcie i tę idyliczną harmonią. Wiedeńska „Gemüthlichkeit“ ustąpiła miejsca rozgoryczeniu drobnych producentów, coraz bardziej rujnowanych przez fabryki i wielki handel. Z wyznawców wielkomieszczańskiego liberalizmu stali się oni zażartymi jego wrogami, grupując się tłumnie pod sztandarem antysemityzmu. Wiedeński zaś separatyzm i brak wszelkiej łączności z okolicznem chłopstwem lub niezadowoloną dziś również szlachtą, nadały ich programowi wybitnie drobnomieszczański charakter, chroniąc go od wszelkich reakcyjnych i klerykalnych domieszek. Równocześnie zaś zapewniły mu one tryumf, którym się dziś szczyci. Streszczając bowiem w sobie wszystkie dążności miejskich warstw średnich, nie czyniąc dla nikogo żadnych programowych ustępstw, tem łatwiej mógł sobie antysemityzm wiedeński zjednać bez wyjątku klasę drobnego mieszczaństwa.

Oddaliśmy wszelką sprawiedliwość wiedeńskim antysemitom. Staraliśmy się wykazać ich racyę bytu i dowieść, iż program ich kryje poza bezmyślnym okrzykiem „precz z żydami“ i poważniejsze cele. Przyznaliżmy im również takt polityczny (chociaż natury przypadkowej) i znaczną potęgę, której dowód dopiero co złożyli.

Bądźmyż jednak do końca bezstronni i nie przeceniajmy znów znaczenia niedawnego ich tryumfu. Wybór Luegera na burmistrza bynajmniej nie oznacza, by antysemici całkowicie opanowali Wiedeń. Wątpliwem jest nawet bardzo, czy Lueger posiada tam za sobą prawdziwą większość. W Austryi bowiem wola ludu, a wola jego reprezentantów — to wręcz odmienne pojęcia. I gdy nareszcie przyjdzie od tak dawna zapowiadana reforma wyborcza, a za nią i demokratyczniejsza ordynacya wyborow miejskich, wtedy magistrat wiedeński ujrzy prawdopodobnie w swem łonie jeszcze inne żywioły, mniej hałaśliwe od antysemitów, lecz o wiele groźniejsze dla ministrów i strzeżonego dziś przez nich porządku.

Str.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Zwycięstwo posła naszego Radwańskiego w pszczyńsko-rybnickim okręgu wprawiło duchowieństwo górnoszląskie i jego organa w istny paroksyzm nienawiści. Odzywają się głosy kapłanów wzywające ks. biskupa Koppa i wszystkich konfratrów, by jednomyślnie wystąpili do walki z emancypacyą ludu polskiego. Bytomski „Katolik“ wobec napaści takich nieśmiało i miękko broni sprawy naszej, energiczniej za to, odezwała się „Gazeta Gnieźnieńska . (Nr. 32.)

W świeżo założonem piśmie czytamy:

„Niechaj księża katoliccy na Górnym Szląsku nie igrają niebacznie z ogniem, i niech nie rozpoczynają walki z sprawą, która powinna być dla nich tak samo świętą, jak dla ludu. We wszystkich krajach (?!) idą kapłani reka w rekę z ludem, jeżeli tenże idzie po drogach Bożych i walczy za swe najświętsze prawa. Patrzcie kapłani Górnego Szlaska na nieszczęśliwą Irlandyą! Tam duchowieństwo stawa mężnie w obronie sprawiedliwości i opiera sie gwałtom Anglików, którzy biedny lud irlandzki ciemieżą. W Irlandyi duchowieństwo, nawet wszyscy biskupi popierają narodowy ruch irlandzki. i tylko wtedy opierają się mu, jeżeli schodzi na bezdroża, jak to czyni stronnictwo Fenian, co mordem chce wywalczyć sprawiedliwość dla Irlandyi,

Jeżeli duchowieństwo górnoszląskie nie stanie w jednym szeregu z ludem, wtedy ten pójdzie swoją drogą. Co z tego wyniknie, niechaj to głeboko rozważą kapłani górnoszlascy.“

W tej samej sprawie tak piszą „Nowiny Raciborskie“:

„Protestujemy energicznie przeciwko wciąganiu osoby Jego Eminencyi ks. Kardynała w spory polityczne, jak tego pragnie „Schlesische Volkszeitung“, która wzywa duchowieństwo, aby poprosiło Arcypasterza. by wystąpił przeciwko gazetom polskim. Stwierdzamy to wyraźnie na tem miejscu, aby nam później nie przypisano winy za nieszczęsne skutki, jakie wysuwanie osoby Jego Eminencyi i zasłanianie się nim spowodować może.

Jeszcze raz: więcej rozwagi i upamiętania!“

Kandydat na radcę.

OBRAZEK KRAKOWSKI.

(Ciąg dalszy).

Przy szampanie toasty są nieodzowne. Przedewszystkiem wypito zdrowie świeżo przybyłego pułkownika“ (w r. 1863 miał zamiar iść do powstania, ale nie zdążył; został mu tylko tytuł i wspomnienie dobrych chęci). Pułkownik podziękował i w te przemówił słowa:

Panowie! Nie jestem mówcą, bo umiem tylko szablą przemawiać. Ale mimo to pozwólcie, że powiem, co mi leży na sercu. Nie będzie panowie dobrze na tym świecie, póki stańczyki za łeb nas wodzić będą. Dziś zwyciężyliśmy i do milion batalionów djabłów zwyciężymy i dalej. A kto nas prowadzi, panowie? co? Prasa, panowie, prasa! A więc piję zdrowie obecnego tu przedstawiciela prasy, pana redaktora i jak powiedział Homer, niech będzie semper venit, vidit vicit“.

Huczne brawa pokryły słowa mówcy. Powstał wzruszony redaktor pogładził rudą brodę i cisnąwszy piorunujące wejrzenie na odchodzącego od drugiego stolika krawca, który zaprzedał się stańczykom , tak rzecz prowadził:

Nie zasługa moja, panowie, ale idea, którą przedstawiam, wywołała pochlebne słowa naszego dzielnego jenerała. (Pułkownik rzucił wzrokiem podziękowania za awans.) Tak jest, jenerała, panowie! Bo kto całe życie walczy za zwycięztwo wzniosłych idei, kto, że tak powiem, jest taranem rozbijającym mury reaków, ten, panowie, zdobył sobie moralne szlify jeneralskie (oklaski). Ten nasz jenerał. panowie, powiedział złote słowa — jakie? słyszeliście. A ja dodam więcej: jesteśmy częścią całości — całość to ludzkość — co czynimy dla siebie, czynimy dla ludzkości. Zwycięztwo zasad postępu, to nie zwycięztwo zaściankowe, panowie, to wielki akt samowiedzy ducha, to przyszły na credit lub debet. Zgniećmy czarną falangę gasicieli ducha, a zasłużymy się sprawie wolności. Europa na nas patrzy“...

— I mała Azya — zawołał ktoś z drugiego pokoju. — lecz niezrażony redaktor ciągnął dalej:

„Z tego wszystkiego widzicie panowie, że nadszedł czas, aby olbrzym postępu zgniótł w swej dłoni karłów obskurantyzmu. Ale do tego trzeba solidarności wszystkich stanów. Byłem świadkiem, panowie, jak obecny tu pan Antoni, choć go pozycya i materyalne stosunki ciągną w objęcia łotrowskiej kliki, porzucił Targowicę i głos swój, głos wolnego obywatela, dał nam, panowie! Widziałem tę kartę, kartę naszą, kartę białą, kartę liberalną w jego dłoni i choć nie wiedziałem, co on za jeden, powiedziałem sobie: oto mąż! Takich nam, panowie, potrzeba. Niech żyje pan Antoni Gandziarowski i niech dalej walczy za prawdę, postęp i swobodę!

Pan Antoni uczuł się niezmiernie szczęśliwym i wdzięcznym mówcy. A ponieważ wdzięczność najlepiej udowodnić czynem, kazał podać dwie nowe Wdówki Cliquot.

Pan dyrektor w krótkiej lecz jędrnej mówce wzniósł zdrowie posła*** „nieobecnego tu ciałem, lecz obecnego duchem wszędzie, gdzie sprawa zwycięztwa partyi liberalnej jest rozpatrywaną“, w ręce jego przyjaciela, pana prezesa. Pan prezes, który w chwilach wolnych od zajęć (tj. od 9 rano do 2 w nocy) pozwala czasem natchnieniu wciskać się w szlachetne swe zwoje mózgowe, odpowiedź swoją na toast na cześć posła*** zakończył czterowierszem:

D lej panowie, trzymajmy się ostro,
Bo nas stańczyki wezmą za łeb jutro.
Więc niechaj nasza sprawa nie zginie,
Niech jej nie zryją stańczykowskie ś . . . . e!

Nie zastanawiając się nad bijącą w oczy prostotą stylu i formy powyższego czterowiersza, zanotować należy, że uczynił on wrażenie niemałe na słuchaczach, a zwłaszcza na panu Filipie. Rzuciwszy się w objęcia mówcy, prosił o przepisanie utworu, a biorąc z niego asumpt, wygłosił nie mówkę, lecz rodzaj traktaciku o tem, kto powinien być radcą miejskim, jakie ma posiadać kwalifikacye, aby stać się opoką, o którą rozbiją się zapędy stańczyków, i zakończył tem zdaniem, że największem nieszczęściem dla partyi jest to, że tacy ludzie jak pan Antoni, niezależni, inteligentni, pełni dobrej woli, prawdziwi obywatele-patrycyusze miasta, nie dadzą się skłonić do przyjęcia mandatu ra-

„Gazeta Opolska“ ogłasza charakterystyczny list jednego z czytelników swo ch w sprawie solidarności Szląska z resztą ojczyzny. Z listu tego podajemy ustęp następujący:

„Wszyscy germanizatorzy hucza jak sowy w czasie wielkich mrozów na wielkopolską agitacyą i jest im solą w oku, że się my Górnoszlązacy poczuwamy po braterstwa z innemi ludami ziem polskich. A któż temu winien? Komuż mamy to do zawdzięczania? Wszystkim tym, którzy ukuli ustawy obowiezujące do tępienia wszystkiego, co polskie. Właśnie rząd pruski i ustawy antipolskie przezeń potwierdzone a rozciągnięte i na Górny Szlązk, kazały i niejako przymusiły nas uznawać Poznaniaków za naszych braci. Bo jeżeli my Szlązacy nie Polacy, to po co było rozciągać system niemczenia i różnych ustaw antipolskich z powodu polskiego narodu w Poznańskiem i na nas Górnoszlązaków? Jeżeli my nie bracia poznańskiego polskiego narodu, to też i nie Polacy a jeżeli nie Polacy, to po co nas rząd pruski porówno z poznańską polską ludnością traktuje? Toć ojciec, gdy jest sprawiedliwy i kocha równą miłością swoje dzieci, to też i majątkiem równo je dzieli. Wiec gdy rząd pruski swą ojcowską miłością równo nas Górnoszlązaków z Poznaniakami obdziela, to tem samem potwierdza, żeśmy bracia jednej krwi i kość z kości.

Wiec też śmiało i otwarcie wołam: Kochani bracia w Poznańskiem, Krakowskiem i Warszawskiem! Kochajmy się i szanujmy się, bo każdemu miło jest gdy widzi, że się dzieci jednej matki kochają, a smuci sie, gdy sie nienawidzą. Wiec i rząd pruski, sprawiedliwy, cieszyć się będzie — jak sądzę — gdy się kochać będziemy, a smuciłby się i krwawiło by mu się bardzo jego ojcowskie serce, gdybyśmy się nie kochali i nie przyznawali do braterstwa.

Ja bym był nawet zatem, aby urządzić polską pielgrzymkę do ks. Bismarcka, jako do takiego, który dał początek naszemu odrodzeniu narodowemu, aby mu złożyć podziękowanie za łaskawą pamięć o nas Polakach pod panowaniem niemieckiem“.

Lwowskie czasopismo „Monitor“ wypowiada taką opinię w sprawie odrzucenia przez rząd austryacki wyboru p. Luegera na burmistrza Wiednia:

Dziś we Wiedniu wre i kipi! Postępek hr. Badeniego nawet przeciwników Dr. Luegera wprawił w zdumienie i wywołał na ich twarzach nieukontentowanie. Bo i do czegoż doprowadzić może krok taki?

Nastąpi wybór nowy i znów zostanie Lueger wybrany po raz trzeci, nastąpi rozwiązanie wybranej rady miejskiej, nowe wybory i nowy wybór Luegera po raz czwarty!

A czyż jeszcze i wówczas unieważniać się będzie wolę wyborców? Obosieczna to broń! Rozbudzi się bardziej jeszcze nienawiści rasowe i klasowe, które buchnąć mogą jasnym płomieniem, a koronie nie pozostawi się drogi do wyjścia.

Pojmujemy energią i silną wolę jednostki, ale ta jednostka winna się stosować do energii i woli współobywateli. Inaczej rzecz pojęta być nie może, gdyż chyba zaprowadzi do wcale niepożądanej katastrofy.

Poczyna się dziś wszystko wikłać i stawać na ostrzu miecza. Miecz wyciągać przeciw piętrzącym się trudnościom niebezpiecznie, gdyż mieczem całość się rozcina a nie wiąże!

My też powtarzamy jako memento:

„Święć się wola nie Twoja, ale ogółu.“

Poseł T. Romanowicz wypowiada w „Nowej Reformie“ następujące zdanie o galicyjskim ruchu ludowym.

„Nic łatwiejszego, jak wmówić w siebie, że ten ruch jest wypływem sztucznej agitacyi, robotą dwóch pism ludowych i ich redaktorów. Byłaby wtedy sprawa bardzo łatwa: agitatorów pozamykać — pisma skonfiskować, i rzecz skończona. I próbowano tych sposobów. Agitato ów, gdzie się to dało zrobić, trochę przymknięto, pisma często konfiskowano i ścigano je zakazami, nawet z ambony głoszonemi, a mimo to, tego szeregu objawów, które obejmujemy mianem „ruchu ludowego“, stłumić nie zdołano. A ztąd wniosek, że jednak w ruchu tym musi coś być takiego, co nie ze sztucznej agitacyi powstało, ale co ma swoją racyą bytu i czerpie ją z danych rzeczywistych stosunków społecznych.

Jeżeli jakaś warstwa społeczna, która stała na „szarym końcu“ życia politycznego, nagle zwartym szeregiem staje i powiada: „jestem“, i domaga się, żeby ten szary koniec, został odnośnie do niej skasowany, i żeby ją postawić w jednym szeregu z innymi, jako „równych z równymi“ — to na ruch taki dwie przyczyny złożyć się muszą: po pierwsze rozbudzona w tej warstwie społecznej świadomość, że ona w życiu publicznem jest, a raczej być powinna ruwnouprawnionym z innemi czynnikiem — a powtóre, jakieś w faktycznych stosunkach uzasadnione niezadowolenie. Bez owej świadomości nie byłoby wogóle możliwem pojawienie się takiej dotąd na szarym końcu trzymanej warstwy społecznej na widowni publicznego życia — bez niezadowolenia nie byłoby przedmiotu dla jej dążeń.

Że świadomość polityczna u naszego ludu wiejskiego budzić się poczyna, dziwić to nie powinno. Ona musi powstać wszędzie, gdzie sięgnie promień oświaty. Przez ćwierć wieku powoli wprawdzie, ale statecznie czynić wysiłki ku oświacie ludu, starać się o pomnożenie i ulepszenie szkół ludowych, wydawać pisma ludowe i całe biblioteczki dla ludu, zakładać po wsiach czytelnie, a potem dziwić się, że w jakie ćwierć wieku od rozpoczęcia tej pracy lud zgłasza się do publicznego życia, jako czynnik z innemi równouprawniony — na to trzeba zaprawdę dziwnego zaślepienia“.

BADANIA NAUKOWE.

Kobieta a mężczyzna.

Bardzo dużo zadrukowano już papieru rozprawami na temat stojącej na porządku dziennym, kwestyi kobiecej; zdawałoby się więc, że kwestya ta zasadniczo przynajmniej została wyjaśnioną. Tymczasem okazuje się przeciwnie; zamiast rozjaśnienia, zaciemniono ją a zaciemniono przez to, że zabierają w niej głos ludzie, niezdolni po większej części do wydania bezstronnego, ściśle naukowego sądu, gdy chodzi o kobiety. Same zresztą niewiasty, z uniwersyteckiem nawet wykształceniem, wygłaszają w tej sprawie zdania wręcz sobie przeciwne.

Twierdzenia przeciwników emancypacyi kobiet dają się streścić w następujących zdaniach: kobieta jest płcią wyłącznie, żyje tylko fizyologicznie, brak w niej człowieczeństwa, brak zdolności umysłowych, brak poczucia moralnego i współczucia. Jest ona zwierzęciem przedewszystkiem, zwierzęciem dzikiem, drapieżnem, okrutnem, pożerającem mężczyzn. Mniej czuje i mniej cierpi od mężczyzny i mniej dla tego (?) spełnia od niego zbrodni i przestępstw[1]). Mężczyźnie jedynie świat zawdzięcza wszystko, co nadaje jakąś wartość życiu.

Dla obrońców emancypacyi kobieta wyżej stoi od mężczyzny pod względem moralnym, pod względem zaś intelektualnym dorównać mu może na każdem polu. Zależność tylko niewolnicza od mężczyzny niepozwoliła jej kształcić swego umysłu i brać udziału w życiu ogólno-społecznem. Ustrój rodowy, w którym kobieta dominujące zajmowała stanowisko, lepszym był od dzisiejszego, stworzonego przez mężczyznę. Pano-

[1]) Kobieta daleko więcej doznaje cierpień od mężczyzny, z powodu rozmaitych zaburzeń, związanych z jej życiem płciowem.

---

dzieckiego, a kiedy wszyscy obecni, głośnem potakiwaniem słowom mówcy, objawili łączność swych pod tym względem zapatrywań, pan Filip zwrócił się do pana Antoniego i w słowach pełnych zapału prosił go w imię osobistej przyjaźni i poczucia obywatelskiego, w imię wreszcie karności stronnictwa, aby się nie usuwał od obowiązków, jakie wola ogółu narzucić mu p agnie.

Pan Antoni opierał się. „Ja całe życie — mówił — byłem skromnym, nigdzie się nie pchałem; pracowałbym szczerze, to prawda, ale czy zdolności moje odpowiedziałyby dobrym chęciom, w to wątpię; zresztą są zasłużeńsi odemnie“. Przyciskany do muru przez pana Filipa i współtowarzyszy oświadczył w końcu: „Zresztą, jeżelibym został wybrany, przyjąłbym te obowiązki, ale proszę was, panowie, zostawcie mnie w spokoju. Ja jestem gwałtowny, — w walce ze stańczykami mógłbym się unieść, i....“

Oklaski, brawa, nie dały panu Antoniemu dokończyć zdania. Takich nam potrzeba! — wołał redaktor. — Pan radzca Antoni niech żyje! — krzyknął jenerał, — a reszta z prezesem i mecenasem na czele, powstawszy, zaintonowała: „niech żyje nam!“

Pan Antoni ściskał i całował wszystkich, a najwięcej Filipa, którego geniusz coraz więcej mu imponował. Czuł, że jest nieco cięty, z chęcią byłby zakończył biesiadę i ruszył ku domowi, ale mentor szepnął: „jeszcze trzy szampany, koniaków i likieru“, które to polecenie pan Antoni głośno powtórzył komu należy.

Ożywienie wzrastało; nie sposób ująć w słowa ogólnego nastroju i zapału, jaki panował tej pamiętnej nocy „pod Fujarą“. Mówki sypały się jak z rękawa, bo jeszcze paru maruderów wracających z „pod Figi“ i z „pod Salcesona“ wstąpiło „pod Fujarę“ i przyłączyło się do grona biesiadników. Ktoś wzniósł zdrowie jednej ze zmarłych niedawno znakomitości, ktoś inny zaproponował wysłać telegram do księcia Aleksandra bułgarskiego, inny pił na cześć dziewic z życzeniem, aby były „matkami postępowemi“, inny na pohybel stańczykom i wszystkim zdrajcom ojczyzny itd. itd. Nie potrzeba dodawać, że anegdotki i nieznane utwory Węgierskiego i Fredry, fraszki Potockiego, opowiadania o Feli i o jej mężu, przeplatały toasty, tworząc razem równiankę złożoną z kwiatów myśli, poezyi, rozumu i dowcipu.

Kiedy dna butelek już ukazywać się zaczęły, powstał pan Antoni, chrząknął i z trudem, bo z trudem, ale wygłosił mówkę, która jakkolwiek nie dostanie się do „wzorów wymowy“, warta jest jednak zanotowania ze względu na stanowisko oratora. Oto jej treść dosłowna:

„Szanowni panowie! Zaszczytem to jest dla mnie, że... panie tego... panowie mieliście zaszczyt... to jest właściwie ja miałem zaszczyt zawrzeć miłą znajomość z panami dobrodziejami. U mnie, panie tego, serce jak na dłoni, czem chata bogata, tem rada, a komu się to nie podoba, panowie, ten tego, to niech go, panowie, jasny piorun, panowie, szlag niech go trafi, panowie“.

Tu na chwilę mówca przystanął. Pot mu płynął obficie z czoła, nogi odmawiały posłuszeństwa, w głowie coś strasznie mąciło, ale otrząsł się, uderzył pięścią w stół i głosem podniesionym mówił dalej:

„Tak, panowie! My tu będziem rządzić, panowie, a nie jakieś stańczyki, panie tego. My nie potrzebujemy hrabiów, panowie, ja nie potrzebuję hrabiów i pan jenerał nie potrzebuje hrabiów, i pan redaktor nie potrzebuje hrabiów, panowie, i pan dyrektor nie potrzebuje hrabiów,... tak, panowie, nikt nie potrzebuje. Jak ja będę radcą, panowie, to hrabiowie za drzwi, my tu sobie radę damy. A jak pan hrabia zaprosi na herbatę, to ja, panowie, zaproszę na kolacyą, uczciwą kolacyą, panowie, i...

— Zdrowie pana Antoniego, naszego kochanego radcy — zawołał gromko pan Filip, chcąc tem gwałtownem przerwaniem uratować oratorski występ pana Antoniego od wyraźnego fiaska.

— Wiwat! — krzyknęli współbiesiadnicy. — Redaktor, jenerał i dyrektor pochwycili pana Antoniego na barki a reszta zawyła „Mnohaja lita“.

Handel „pod Fujarą“ otwarty jest tylko do 4 rano. Ten barbarzyński zwyczaj zmusił towarzystwo do opuszczenia wcześniej niż należało tak przyjemnego lokalu. Pan Antoni już nieco wytrzeźwiał; przyczynił się do tego najprzód dzban wody, wylany na głowę, a następnie przedstawiony do zapłacenia rachunek. Nie potrzeba dodawać, że pan Antoni zapłacił za wszystko, a nawet więcej, bo nietylko „fundowane“ przez pana „prezesa“ albertynki i bakalie, redaktorski koniak, moskale „dyrektora“ i ser „mece-

wanie kobiety było panowaniem równości, braterstwa i dobrobytu powszechnego, gdy panowanie mężczyzny jest panowaniem przemocy, niesprawiedliwości i nędzy powszechnej. Gdy kobieta odzyska dawne swe prawa, wtedy zapanuje znowu na świecie szczęście powszechne.

Stojąc na stanowisku wyłącznie naukowem, niemożemy przyznać słuszności żadnej z tych biegunowo sobie przeciwnych opinii. Kobieta zdaniem naszem — nie jest ani szatanem, ani aniołem, lecz jest człowiekiem, ani gorszym, ani lepszym pod względem wartości społecznej od mężczyzny. Różniąc się cieleśnie od mężczyzny, różni się ona niewątpliwie i duchowo; rola jej jednak życiowa równoległą jest do jego roli i do równoległości społecznego jej stanowiska ze stanowiskiem mężczyzny prowadzi.

Jak wszędzie, tak i tutaj, walka jest niezbędną, z jednej strony walka ekonomiczna o życie, z drugiej — walka płciowa, walka miłosna o przekazanie życia. Obie płcie w walkach tych brać muszą udział gdyż obie chcą żyć w sobie i w swem potomstwie; zachowywanie się ich jednak w tych walkach różnem jest o tyle, o ile różną jest ich rola w zachowaniu gatunku, tego zasadniczego celu życia jednostki, do którego całe życie społeczne zmierza. Ponieważ płciowość w realizacyi tego celu najistotniejszą odgrywa rolę, od niej zatem sposób życia jednostki zależy przedewszystkiem. Każda z płci przystosowywać się musi całą swą istotą do zasadniczej swej roli, ażeby jaknajlepiej odpowiedzieć zadaniu swemu życiowemu, ażeby osiągnąć maximum szczęścia; ztąd też ogólna działalność życiowa każdej z nich właściwy sobie charakter posiadać musi, musi się od ogólnej działalności płci odmiennej czemś wyróżniać. Niemamy tu, oczywiście, na myśli działalności fachowej, tłumiącej indywidualność w człowieku i czyniącej z niego maszynę, podobną do innych maszyn. W mechanicznej tej działalności kobieta i mężczyzna mogą się nie wyróżniać wcale, do jednakowej mogą dojść wprawy w wspólnym zawodzie, jednako mogą być użyteczni. Różnią się oni wtedy tylko, gdy indywidualna ich samorzutność w grę wchodzi. Nie należy tu brać. naturalnie, pod uwagę jednostek nienormalnych, hermafrodytycznych, androgienicznych.

Jakież to są owe psychiczne właściwości płciowe, wyróżniające mężczyznę od kobiety?

Wszystko w życiu, jak wiadomo, jest walką; walka stanowi treść życia. Wszystko, co nas porusza, przyciąga, interesuje, czy to w świecie nauki, czy sztuki, czy też w samem życiu nas otaczającem, występuje zawsze w formie walki. Walką jest wszelki wynalazek, wszelka zdobycz naukowa, wszelkie dzieło sztuki, wszelka gra, wszelki sport, wszelka dyskusya, wszelkie dążenie. Walką jest również sama miłość, nawet najwznioślejsza. Napadającym jest tu mężczyzna, kobieta — broniącą się; on pragnie zdobywać, ona pragnie, aby jej uległość poprzedziła walka, ona chce być *zdobywaną*. Taki podział roli w walce miłosnej odpowiada zupełnie podziałowi funkcyj fizyologicznych w dziele utrwalania gatunku. Już tutaj przejawia się odmienny charakter obu płci, co dowodzi, że odmienność ta nie jest wytworem przypadkowym, ale koniecznością ewolucyjną samego życia, której żadne usiłowania emancypacyjne ze strony kobiet zatrzeć niezdołają. Dusza kobiety nigdy nieupodobni się do duszy mężczyzny. Jak ciała ich różnią się pomiędzy sobą, tak i ich dusze różnić się pomiędzy sobą zawsze będą.

Gdy mężczyzna rozgląda się dokoła, szuka, goni walczy, usiłuje dotrzeć do celu swych pragnień, pozanim istniejącego, kobieta w siebie jest zapatrzoną, do siebie wszystko chce przyciągnąć, w sobie widzi cel swego życia — utrwalenie gatunku, macierzyństwo. Już od dziewczęcia małego bawi się instynktowo w matkę ze swą lalką. Ażeby osiągnąć ten cel, musi pragnąć zwracania na siebie uwagi mężczyzn, musi się starać przyciągać ich, podobać im się, starać się o to, ażeby być przez nich pożądaną; musi zatem dbać o ujawnianie i uwydatnianianie tych stron swej osoby, które są poszukiwane przez mężczyzn. Całe jej życie psychiczne około tego się obraca. Nie jest ona przez to mniej wrażliwą, mniej czułą, mniej dobrą, mniej moralną, niżej, jednem słowem, ewolucyjnie stojącą od mężczyzny, ale taką samą, jak i on; tylko, ażeby módz to dostrzedz, należy ją obserwować na właściwym jej gruncie, z punktu widzenia życiowych jej przeznaczeń. Niemoże być ona wrażliwą, ani czułą na to, co jej nie uderza lub co nie znajduje w niej odpowiedniego organu percepcyjnego: niemoże iść za popędem instynktów altruistycznych tam, gdzie instynkty egoistyczne przez zasadniczy cel jej życia budzone być muszą.

„Dites à une femme, que vous voulez vous tuer pour elle, elle vous suppliera de n'en rien faire; faites-le, elle s'en vantera partout" — powiedział jaknajsłuszniej Balzac. Kobieta niechce, byś się zabijał, gdyż niechce zmniejszać koła swych wielbicieli. Lecz, gdyś się już zabił, to, naturalnie, chełpić się będzie wszędzie, żeś się zabił dla niej, dla jej osoby, fakt ten bowiem odpowiada najzupełniej zasadniczym dążnościom jej życiowym. Czyż to dowodzi nieczułości w kobiecie? A mężczyzna, porzucający swą żonę lub kochankę z dziećmi i skazujący je przez to na nędzę, czyż odznacza się nadmiarem czułości? Tylko kobiety, pozbawione instynktu macierzyńskiego są złe i okrutne, ale wówczas nie są już one prawdziwemi kobietami.

Że kobieta dochodzi wcześniej do dojrzałości nie mężczyzna, to także jeszcze niedowodzi, ażeby miała stać od niego niżej ewolucyjnie. Mężczyzna dlatego dłużej rozwija się od kobiety, iż do dłuższego życia płciowego, niż ona, jest przeznaczony. Ponieważ natura wszystkie kobiety przeznaczyła do życia płciowego, przedłużyć zatem musiała mężczyznom, z przyczyn całkiem zrozumiałych, funkcyonalność ich płciową; niemogła bowiem powiększać ich ilości, z tej prostej racyi, że zaostrzona pomiędzy nimi walka, zredukowałaby ich znowu ilościowo do cyfry, odpowiadającej ilości kobiet. Jeżeli policzymy w przecięciu lata płciowe mężczyzny (40 do 50 a zdarza się i więcej)

---

nasa" weszły na rachunek, ale obciążył go jeszcze befsztek z jajem, który w południowej porze dnia tego pokrzepił drogie dla narodu, rycerskie członki „jenerała".

Dalsze dzieje dnia tego niech pokryje zasłona. Tyle tylko nadmienić wypada, że pan Antoni po wyjściu z szynku, przepraszam, z handlu „pod Fujarą" w towarzystwie pana Filipa, redaktora i jenerała, badał przez parę godzin bruki i stan oświetlenia przedmieść w kierunku ulic Karmelickiej, Łobzowskiej i Długiej, w skutek czego dopiero o godz. 6 rano powrócił do domu po 10-godzinnej pracy dla dobra miasta, kraju i społeczeństwa.

IV.

Nazajutrz, a raczej tego samego dnia około godz. 1 z południa, obudził się pan Antoni z mocnym bólem głowy. Pani Antoniowa całe pięć godzin przesiedziała przy łożu chorego.... na krzesło radzieckie — owijała mu czoło mokremi ręcznikami, zatrwożona, blada, bo Antoś ani słowa nie przemówił i leżał jak zabity. Pisarzom dzisiejszego realistycznego kierunku polecam opisanie tej nocy, skutki bowiem pijatyki dostarczyć mogą wspaniałych epizodów, „dokumentów", tchnących „życiem i prawdą". Ponieważ jednak tchną one i czemś innem, powróćmy przeto do obudzonego kandydata.

Ciężko mu było na sercu i w głowie, choć lżej w kieszeni. Od lat dwudziestu trzymał się zdala Bachusa i miał o nim tylko lekkie wspomnienia. Ale i te wystarczyły do energicznego zażądania barszczu. Przemienił się w pompę ssącą przyjemny kwasek i dumał. Jak zostanie radnym, wejdzie w tajną spółkę z budowniczym Golickim, bardzo porządnym człowiekiem, ale stwierdzającym golizną pochodzenie swego nazwiska: wyjedna mu swemi stosunkami prowadzenie jednej i drugiej budowli miejskiej, wezmą którą z nich w przedsiębiorstwo, później wezmą drugą, trzecią i czwartą. Golicki będzie pracował, a pan Antoni powiększał swą gotóweczkę dla dobra współobywateli. Dalej ten grunt nad Rudawą wartoby sprzedać miastu dla uregulowania ulicy; przecież miasto może dać za sążeń do 25 złr., kiedy żydzi już po 12 i ćwierć dawali. Zresztą zamknie się magistratowcom możność ciągłego wtrącania się do obu domów przy Szewskiej i Floryańskiej, a to ganki wydają się im pogniłe, a to front podrapany, a to wychodki za blizko studni, a to mieszkanie stróża niehygieniczne, a to ścianka widermachu popękana i grozi zawaleniem, — słowem szykany od rana do nocy. Czy to ich kamienica, czy co? czy oni tę wodę piją, czy oni w piwnicy mieszkają i gankami chodzą! Tfu! — jeszcze ich front podrapany w oczy drapie — a niech drapie, niech nie patrzą, niech zamkną oczy jak przechodzą. Porządny obywatel ma dom, aby brać czynsze, a nie dla przyjemności cudzych oczu. Ho, ho! skończy się raz to wszystko! „Magistrackie pany" będą skakali i słuchali na łapkach, co pan radca rozkaże. Przytem się wyrobi jeden i drugi konsensik na szyneczek, to i przybędzie pewny roczny dochodzik, niewielki o! niewielki, ale porządny obywatel niczem nie gardzi. A jak Janek zda maturę i skończy medycynę, to go się tam jakoś na fizyka wykieruje i...

W tej chwili odezwał się dzwonek. a służąca zapowiedziała wizytę jakiegoś pana. Pan Antoni zrzucił szlafrok, przewdział tużurek, i podążył naprzeciw gościa. Był nim pan redaktor. „Obowiązek moralny" kazał mu odwiedzić zacnego obywatela i zapytać o szlachetne zdrowie po wczorajszej małej bibce. Posadzony na kanapie, poczęstowany sprowadzonym naprędce z trafiki dobrem cygarem, jął przedstawiciel dziennikarstwa wykładać gospodarzowi jak stronnictwa stoją tylko zgodą i jednością i jak wzajemna pomoc jest obowiązkiem ludzi jednych zasad. Po tym wstępie przyznał się, że dziś rano już „kropnął" korespondencyjkę do „Trąby Tarnopolskiej", w której poparł kandydaturę pana Antoniego, a gdy ten jakoś niczego się nie domyślał, więc mu wprost przedstawił swoje „wyjątkowe położenie". Okoliczności tak się ułożyły, że adwokat nie odesłał mu dotąd procentu od kapitału lokowanego na dobrach w Oszmiańskiem, a redakcye „Waryata Kołomyjskiego" i „Trąby Tarnopolskiej" spóźniły się z wypłatą honoraryum, — ztąd zniewolony jest uciec się do obywatelskiej pomocy pana Antoniego, prosząc o „chwilową" pożyczkę w kwocie 50 złr.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

i lata płciowe kobiety (30), to się okaże, iż męzkość przeważa znacznie nad kobiecością. Pierwiastek zresztą męzki, jako poszukujący, goniący, napadający, daleko więcej narażony bywa na nieodpowiedzenie swemu przeznaczeniu, niż pierwiastek żeński, mniej lub więcej dość biernie się zachowujący. To nam tłomaczy, dla czego mężczyzna żywotniejszy jest pod względem płciowym od kobiety.

Walka płci w społeczeństwie ciągnie się jednem pasmem przez cały ciąg dziejów. Gdy kobieta zajmowała stanowisko uprzywilejowane w społeczeństwach rodowych, traktowała mężczyzn, jak pszczoły trutni. Na uroczystościach Mylity w Babilonii obierano królem świata młodego niewolnika i najpiękniejsza z kobiet wówczas mu się oddawała; niewolnika tego rzucano następnie na stos i palono. Tak wyglądało braterstwo w idealnych tych czasach, kiedy panowały kobiety! To też, gdy mężczyzna odniósł przewagę nad kobietą w życiu społecznem, odwzajemnił się jej za krzywdy, dawniej mu wyrządzane. Ustrój patryarchalny rodziny, jaki nastąpił po ustroju matryarchalnym, był wynikiem zresztą samego rozwoju społecznego. Mężczyzna wziął górę nad kobietą dlatego, że rozszerzył się zakres wytwórczości społecznej, której matryarchalny ustrój rodowy w granicach swych utrzymać już niemógł. Mężczyzna lepiej jest uzdolniony do objęcia roli kierowniczej w nowym ustroju i dlatego ją objął.

Społeczna przewaga mężczyzny, jaką zdobył przed trzema tysiącami lat nad kobietą, zachwiana w wiekach średnich, upadła jednak i jurydyczny już prawie tylko posiada charakter. Kobiety dzisiejsze wielki wywierają wpływ na życie społeczne: nie są one już dziś niewolnicami, nieszczęsnemi ofiarami okrucieństwa mężczyzn, ale korzystają nawet z pewnych przywilejów w życiu towarzyskiem. Kobieta nie jest dziś już więźniem, zamykanym w gineceach i służącym jedynie za narzędzie rozkoszy dla swego pana, i za maszynę, rodzącą mu potomstwo. Kobieta jest dziś jednostką społeczną sama przez się i bezpośrednio bierze udział w życiu społecznem.

Z chwilą, gdy ustrój ekonomiczny wyrwał kobietę z życia rodzinnego i, wciągnąwszy ją w szeregi walczących o byt, obniżył zarobek mężczyzny i utrudnił przez to zawiązywanie nowych rodzin, poczyna się stanowczy upadek rodziny patryarchalnej. Zmuszona do ekonomicznej walki o byt, nieprzystosowana jednak do niej dziedzicznie, słabsza nerwowo od mężczyzny i mniejszym rozporządzająca zapasem energii i przedsiębiorczości, kobieta pada często w tej walce i ulega często wykolejeniu. Niemogąc wywalczyć środków do życia na drodze uczciwej pracy, szuka ich coraz częściej na drodze prostytucyi, każąc mężczyźnie płacić za miłość, jaką w innych warunkach darmoby go obdarzała. Prostytucya, wzrastająca równolegle z samobójstwem i rozwodami, w stosunku zaś odwrotnym do cyfr zawierania małżeństw, jest więc złem koniecznem, nieodłącznem od dzisiejszego ustroju ekonomicznego, złem, którego żadne wojny krzyżowe, przeciw niemu skierowane, nieosłabią, jest protestem tych, którym niewolno cieszyć się szczęściem rodzinnem.

Aczkolwiek taki sposób walki o byt przeobrażająco wpływa na rodzinę i nową jej formę, lepiej odpowiadającą warunkom życia społecznego, przygotowuje, to jednak dużo szkody przynosi samym kobietom wogóle. Kobiety oddające się prostytucyi, utrudniają kobietom, niepraktykującym tego handlu, zamążpójście, i tym sposobem pozbawiają wiele z nich możności zaspokojenia ich potrzeb płciowych, oraz potrzeb macierzyństwa — tego zasadniczego celu życia kobiety. Gdy cel ten nie znajduje urzeczywistnienia w czasie właściwym lub też gdy nie znajduje urzeczywistnienia wcale, co zdarza się coraz częściej (kobiety niezamężne i niepiękne) — kobiet zresztą więcej jest o 3 do 4% niż mężczyzn — kobieta staje się wówczas ofiarą rozmaitych zaburzeń organicznych i psychicznych, ujawniających się subjektywnie w niezadowoleniu z siebie i ze świata, w tęsknotach nieokreślonych, w ogólnem rozczarowaniu, w nienawiści ku wszystkiemu, i t. d.

Charakter płciowy mężczyzny i kobiety przejawia się również w charakterze ich umysłu. Gdy umysł mężczyzny jest napadający, umysł kobiety — odbiorczy. Mężczyzna rzuca się na świat, napada nań, usiłuje nad nim zapanować; kobieta wogóle nie czyni tego, bo sprzeczne to jest z jej naturą. Świat interesuje ją o tyle tylko, o ile się wiąże z jej rolą życiową, o ile sam się jej narzuca. Dla tego też kobiety nie podbijają natury, nie czynią wynalazków, nie popychają naprzód nauki i nigdy, jak sadzę, do tego nie będą zdolne. Umysł ich nie może się rozwijać w tym kierunku, gdyż to jest sprzeczne z ich naturą, z kierunkiem ich rozwoju. Mogą one być jednak dobremi wykonawczyniami, pracowniczkami na różnych polach działalności umysłowej w kierunku im wskazanym. Mogą być lekarzami, prawnikami, chemikami, przyrodnikami, i t. d., ale żadnych wynalazków, żadnych nowych metod badania, żadnych nowych uogólnień niezdolne będą dać nauce.

dr. *Antoni Złotnicki.*

LITERATURA I SZTUKA.

Sylwetki poetów czeskich.

IV.

Moderna i dekadentyzm. — Brzezina.

Młode pokolenie poetów czeskich, odświeżone ideami zachodniemi, podległo wpływom nowoczesnym i zerwawszy z kierunkiem romantycznym, mającym w Czechach w dobie ostatniej kilku wcale pokaźnych przedstawicieli, jak np. Vrchlicky'ego, Czecha, Juliusza Zeyera, więcej realnie zaczęło przed-

AXEL STEENBUCH.

MIŁOŚĆ.

Przekład
Zygmunta Bytkowskiego.

Akt III.

(We willi. Szczęśliwy i nieszczęśliwy wchodzą i zatrzymują się w przedsionku.)

NIESZCZĘŚLIWY. Jak mi się zdaje, drzwi aksamitem są obramowane.

SZCZĘŚLIWY. By słychać nie było, gdy kto nieostrożnie niemi zatrzaśnie.

NIESZCZĘŚLIWY. Ogród tu cały.

SZCZĘŚLIWY. Wiesz przecie.

NIESZCZĘŚLIWY. Tak, zawsze kwiaty lubiła.

SZCZĘŚLIWY. Chodźmy na górę. (*Idą*)

NIESZCZĘŚLIWY. Chodniki aksamitne na wschodach.

SZCZĘŚLIWY. Tak, by odgłos kroków nie dochodził.

NIESZCZĘŚLIWY. Stare malowidła na szybach.

SZCZĘŚLIWY. Malowane szyby tłumią światło. Słońce zbyt mogłoby razić.

NIESZCZĘŚLIWY. Ach! te opony z jedwabiu, tak pięknych nie widziałem.

SZCZĘŚLIWY. Wiesz przecie.

NIESZCZĘŚLIWY. Tak, zawsze za pięknemi barwami przepadała. Ach, ta gra świateł i barw na jedwabiu! Czemu mię za ramię chwytasz?

SZCZĘŚLIWY. Nie słyszysz nic?

NIESZCZĘŚLIWY. Co?

SZCZĘŚLIWY. Straszny ten jęk.

NIESZCZĘŚLIWY. Znam go, od czasu, gdym go poraz pierwszy usłyszał, wiecznie, wiecznie jest przy niej. Mnie się wówczas zdało, jakoby mi zimnym ostrzem w serce się wcinał. Potem łagodniał, z dniem każdym łagodniał; i zdał mi się trwożnem a wzruszającem kwileniem małego dziecięcia; a w nocy był jakoby brzęk drobnych, srebrnych dzwoneczków. (*Pokazując*) Tu drzwi.

SZCZĘŚLIWY. Zgadujesz.

NIESZCZĘŚLIWY. Czułem, iż zadrzałeś. Czy znajdziesz odwagę otworzyć je?

SZCZĘŚLIWY. Nie mogę.

NIESZCZĘŚLIWY. Tedy ja to uczynię.

SZCZĘŚLIWY. Nie, sam otworzę (*otwiera drzwi.*)

(Pułap komnaty jasnym wyłożony jedwabiem ściany przedniemi i cienkiemi tkaninami o mieniących się barwach; dywan utkany w róże. W środku komnaty proste łóżko.)

NIESZCZĘŚLIWY. Puść mię! Nie obawiaj się niczego! Toż na nią popatrz! Chore, bezmocne dzieciątko, co nie mogłoby ani „tak“ na prośbę moją odpowiedzieć, ani „nie“, gdybym mu coś złego zamierzał uczynić. Świętokradztwem byłoby włosów jej ręką się dotknąć, by je z czoła odgarnąć. — Czy to twoje miejsce tam przy łożu? Musisz mi go na chwilę użyczyć. Usiędę i uczyć się będę z płonącem licem śnić a marzyć.

SZCZĘŚLIWY. Nie, szeptać w ucho ci nie wolno.

NIESZCZĘŚLIWY. Przywykłem mówić w kościele stłumionym głosem.

SZCZĘŚLIWY. Czy mogę usiąść przy tobie?

NIESZCZĘŚLIWY. Siądź, gdzie chcesz. Dla mnie i tak cię nie ma, — i dla niej także (*siada przy łożu*). Julio, pamiętasz jeszcze dnie owe letnie, gdy nad strumykiem, co wśród zieleni i róż bladych jasną swą strugę tocząc, po kamieniach dzwonił, ja i ty, dwoje śmiejących się dzieci, siedziało, w obraz swój we wód zwierciadle zapatrzonych, — gdy uszczknięte przez nas liście jako łódki po wartkiej fali, daleko, hen daleko gdzieś płynęły, gdzie ich już wzrok nasz nie dosięgał. A oczy nasze niknęły za niemi i myśleliśmy, jako się one gdzieś w inny świat poniosą, gdzie wielkie, świetne rosną kwiaty o upajającej woni. Łodzie wracają! Łodzie wracają!

SZCZĘŚLIWY. Co mówisz?

NIESZCZĘŚLIWY. Julio! Pomnisz ów wieczór pod lipami? Co zgiełk a wrzawa dzienna pochłonęły, to kwiecie ich do nowego powołało życia, na skrzydłach słodkiej swej woni w krainę marzeń nas unosząc, a w gałęziach chwiały się i kołysały ptaki. I drżąc niosły się ponad głowy nasze tęskne ich pienia. I był jeden pomiędzy

stawiać życie ludzkie. Poeci ci noszą miano moderny czeskiej. Spotykamy tu jednostki, o uczuciach, zakorzenionych jeszcze w romantycznej głębie, o rozumie, co wznosząc się ponad niemi, żyje już powietrzem obecnej chwili, jak np. u Machara, niejako przywódzcy moderny; dalej osobniki, bardziej niż Machar realistyczne, lecz mniej od niego utalentowane, i dla tego nie one, lecz on stoi na czele nowożytnych piewców czeskich; nakoniec do rzędu moderny trzeba zaliczyć poetów, pokrewnych dekadentom Francyi i Belgii, poetów wśród których jedno tylko nazwisko szczęśliwie wypłynęło na wierzch. Jest nim O t o k a r B r z e z i n a.

Pomimo, że pieśniarze z większem lub mniejszem zabarwieniem realistycznem wyróżniają się, rzecz prosta, od spółtowarzyszy swych na polu poezyi dekadentów, — wszyscy oni tworzą jednę gromadę słowików, znaną w Czechach pod nazwą „Moderny“. Jeżeli więc oddzielimy od „Moderny“ grupę dekadentów, — pozostała reszta odpowie mniej więcej temu, co poezyą się zowie realistyczną, zawsze jednak z odcieniem romantycznym. Od dawnych romantyków, jak np. Vrchlicky'ego i Zeyera, odróżniają się oni przedewszystkiem materyałem, który zazwyczaj brany jest z życia, dalej mniejszą fantastycznością, a zarazem mniejszem bogactwem pięknych porównań, bez zaprzeczenia zaś większem panowaniem nad słowem, ztąd wiersze ich nie grzeszą zbytnią rozwlekłością, ani zbytnim patosem, co nadzwyczaj łatwo znaleźć u takich pierwszorzędnych poetów jak Vrchlicky, a nawet Zeyer. Z tem wszystkiem nie spotykamy u realistów tj. u „Moderny“ — bo dekadentów stawiamy oddzielnie, jako całość odrębną — rzeczy większych; zazwyczaj płody ich wyobraźni w nader szczupłych są pomieszczane ramkach. Wyjątek dodatni stanowi poeta Machar. Ale Machar i pod względem poetyczności, spostrzegawczości, rozsądku i zawsze żywotnego ciepła o całe niebo przewyższa towarzyszy z pod jednej chorągwi, i dla tego obszerniejsze mu poświęciliśmy miejsce w poprzednich pogawędkach.

Z innych poetów nowszej doby wspomnimy Antoniego Sowę, wynajdującego w życiu codziennem wiele stron nowych, nietkniętych jeszcze piórem poetów, umiejącego badać duszę ludzką i opiewać ją nader pieszczotliwie językiem niepozbawionym giętkości; dalej Franciszka Swobodę — krajobrazistę i warstw ludowych pieśniarza.

Jeżeli czeska poezya realistyczna nie przewyższa naszej, a prawdopodobnie jej nawet ustępuje, wyłączając jednego Machara, który dzięki Magdalenie wzbił się może ponad piewców polskich dzisiejszej doby, — to nie możemy tego powiedzieć o dekadentyzmie i symboliźmie. Pod tym względem Czesi górują niepodzielnie, zarówno w dodatnim jak ujemnym kierunku.

Nasz symbolista Antoni Lange ma się tak do symbolistów czeskich, jak brylant fałszowany do prawdziwego. Gadativus i rozwlekacz, lubujący cię w porównaniach niezbyt oryginalnych, jakim jest poeta Lange, — to żaden symbolista, a raczej symbolista-rzemieślnik. Czesi pozostawili nas w tyle. Może to i lepiej.

Czesi, starający się w jakikolwiekbądź sposób zostać narodem europejskim, biorą na siebie częstokroć szaty zachodnie, aby choć zewnętrznie być podobnymi do tego niby przecywilizowanego zachodu. Pragną być w ścisłych z nim stosunkach, dążą, by mieć to, co on posiada. Postarali się też o dekadentyzm, który chyba sposobem naturalnym nie bardzo szybko mógłby zapuścić kiełki w narodzie, nie mającym jeszcze dziś prawa liczyć się do rzędu przecywilizowanych. A jednak dekadenci posiadają oddzielne pismo „Moderni Revue“, bynajmniej w treść nie obfite i płodami twórczości samodzielnej nie interesujące, a samą okładką swoją znamionujące dziwactwo i dzieciństwo wydawców. Napis czasopisma brzmi bowiem mniejwięcej w następujący sposób:

Moderni Re-
vue, pismo de-
kadenckie. Uli-
ca Bezklepkow-
ska. Nr. 15. Roku
1895.

Wydawnictwa dekadentów noszą na sobie także znamie ekscentryczności, mówiąc grzecznie, oryginalności. Kiedy rzeczywista dekadentów siła, Otokar Brzezina, puścił w obieg swą książkę „Tajemne dalky“ — umieścił na niej nagłówek taki:

Otokar Brzezina Tajemne dalky.

Zabawka godna najwyżej uczniaków z pierwszej klasy.

Z liczby dekadentów czeskich możemy wymienić Jerzego Karaska, Arnoszta Prochaskę i Otokara Brzezinę. Z nich tylko ostatni się wybitnie odznaczył w gronie młodzieńczych talentów czeskich. Karasek upodobał sobie złą stronę poezyi Baudelaire'a, mianowicie jego perwersyę i cynizm, tak że w przeszłym miesiącu cenzura nie pozwoliła mu drukować jego utworów, między innemi sprośnej podobno „Sodomy“. Prochaska znany jest w Czechach jako nader zdolny krytyk — jego zaś „Prostibulo Duse“ nie dorzuci mu zaiste ani jednego oklasku do tych, jakie zdobył sobie umiejętną krytyką.

Za to Otokar Brzezina, choć obdarował Czechów jednym jeno zbiorkiem i kilkunastoma wierszami, rozrzuconemi po czasopismach, przedstawił się już dziś tak zajmująco i samodzielnie, że obok Machara godne i bynajmniej nie pośledniejsze może zająć miejsce.

Machar i Brzezina to dwaj nowszego stempla poeci, którymi Czesi mogą się pochlubić. Machar to książę wśród poetycznej rzeszy realistów, Brzezina wśród rozbujałej zgrai dekadentów. Machar, poeta społeczny, polityczny, czeski, — Brzezina pieśniarz myśli, tęsknoty, złudzeń i snów, piewca więcej ogólny, kosmopolityczny, choć jeno dla duchów wybranych, inteligentnych, — dla lukullusowych smakoszów artyzmu.

Brzezina nie dawno wstąpił w szranki poetów, lecz pomimo nieznacznej produkcyi można o nim mówić jako o czemś całem.

Ma on więcej z Maeterlincka, niż z Baudelaire'a, do którego często był porównywanym. Kobiet, jak sam powiada, ognisty pocałunek nie rozpalił krwi jego i szał

---

nimi, ten śpiewał najtęskniej. A potem uleciał jeden po drugim i zamilkł śpiew. Noc zeszła. Ptaki po gniazdach się pochowały, ptaki do snu się pokładły i trwożna leżała noc przed nami i czekała słońca. — Julio! Ptaki wracają! Ptaki wracają!

SZCZĘŚLIWY. Nie rozumie cię, — głos twój, jakoby z nieskończonej płynie dali.

NIESZCZĘŚLIWY. Julio, Julio mała! Pomnisz poranek ów, gdy powietrze i morze w iskrzącą i lśniącą jedność się zlewały. Czarne łódki, co na kotwicy stały, zdały się w powietrzu wisieć i w niebie się odbijać. Za każdem poruszeniem wioseł, za każdem posunięciem się naszej łodzi, zdało nam się, iżeśmy bliżsi linii kresowej, — miejsca jednak, w którem woda z powietrzem w jedno się zlewała, dosięgnąć nie mogliśmy. Ku krainie baśni płynęliśmy, ale brzegi jej umykały przed nami. Wszystkie fale nas odpychały, żadna nas ku nim nie niosła. Julio, droga, mała Julio! Fale wracają! Fale wracają!

SZCZĘŚLIWY (*wstaje*). Patrz! Patrz! czy nie widzisz? — W licach krew! Od lat już, jak wosk były białe. Patrzże! Patrz.

NIESZCZĘŚLIWY (*wstaje*). Tak. — oddałem ci ją.

SZCZĘŚLIWY. Budzi się! Odejdźże teraz.

NIESZCZĘŚLIWY. Bym krzyku jej nie słyszał rozpacznego, gdy otworzywszy oczy rozgládnie się i mnie nie znajdzie. Ty go jednak usłyszysz! Ty go usłyszysz!

SZCZĘŚLIWY. Spiesz się!

NIESZCZĘŚLIWY. Jak chcesz.

Akt IV.

(Wieczorem. Ciemna alkowa we willi.)

NIESZCZĘŚLIWY (*otwiera drzwi*). Tu jesteś, nieprawda? Tam w ciemnym kącie?

SZCZĘŚLIWY. Szukałeś mnie po całym domu?

NIESZCZĘŚLIWY. Patrzałem w okna ze strony ogrodu. Tam, gdzie najciemniej było i najdalej od miejsca, gdzie umarła, tam cię szukałem.

SZCZĘŚLIWY. Myślisz może, żem się przed tobą ukrywał?

NIESZCZĘŚLIWY. Raczejbyś przed sobą samym, gdybyś mógł.

SZCZĘŚLIWY. Szukałem cię w kaplicy. Nie było cię tam?

NIESZCZĘŚLIWY. Pożegnałem się z nią u siebie w domu. Kazałem ogrodnikowi do mej komórki na poddaszu przynieść akacyi i liści dębowych i przystroiłem nimi nagie jej ściany. Stół mój zasłałem obrusem białym, jako całunem śmiertelnym i postawiłem na nim róże i goździki i butelkę burgunda. Dwie były szklanki i obie napełniłem. Przez całe te pięć lat usta me wina nie tknęły, — za ubogi byłem, by je sobie kupić. Słyszałem dzwonienie z wieży kapliczki i zgrzyt kół po wilgotnym żwirze na drodze przed memi oknami. Nie wyglądałem. Uniosłem szklankę ku słońcu, — w promieniach jego wino skrzącą łyskało czerwienią, — było jako krew serdeczna. Popatrzyłem ku jasnemu cichemu niebu nademną, — jaskółka szybowała po niem, skowronek się wzbijał, — szeptałem słowa podzięki i pożegnania.

SZCZĘŚLIWY. Dla mnie dzień ów był dniem odrętwienia i przerażenia. Światło dzienne mię oślepiało. Zapach róż w kaplicy odurzał mię... jakoby głuche uderzenia spadało bicie dzwonów na mą głowę. A ty? — ty mogłeś dzień ów święcić?... Cóż teraz poczniesz?

NIESZCZĘŚLIWY. Mamże ci powiedzieć, co ty poczniesz? Dzień jeden spędzisz w zupełnej ciemności, dnia następnego jednak już zasłon nie zapuścisz, dnia trzeciego wyjdziesz na słońce, a potem niedługo ty nie dzień jeden tylko święcić będziesz. I rozciągniesz na stole obrus, jako całun śmiertelny, biały, i postawisz na nim róże i goździki i butelkę burgunda i dwie szklanki, i do obu nalejesz wina i obie będą spełnione. I nie uniesiesz szklanki twej ku słońcu i nie będziesz wiedział, iż wino krwi ma barwę. Ale pijąc upajać się będziesz wonią lśniących włosów. — Szczęśliwy człowieku! Tobie świąt nie zbraknie. Tyś nie pasierbem przyrody, jako ja, któremu jedno święto w życiu tylko obchodzić wolno.

SZCZĘŚLIWY. Zawsześ w zagadkach się lubował.

NIESZCZĘŚLIWY. Wnoszę z jednego o drugiem. Płakałeś dzisiaj tyle, przyjdzie com przepowiedział.

SZCZĘŚLIWY. Ale ty?

NIESZCZĘŚLIWY. Będę na drodze siedział, tłukł kamienie. Na szerokim gościńcu, setkami śladów zaoranym — tam,

miłosny nie zapłonął mu nigdy w źrenicach. Ztąd brak w jego poezyi pierwiastku perwersyi, cynizmu, owych „szpików“ i „mleczów pacierzowych“, czem się pochlebnie wyróżnia nawet od Maeterlincka. Jest on niejako poetą pozapłciowym, któremu wiosna, jak sam śpiewa, była smętną pieśnią elegijną, i który więcej myślami niż czynem grzeszył. W wierszu „Martwa młodość“ mówi, że na wspomnienie zwiędłej wiosny, tych martwych pocałunków, których żar go nie palił, „wszystko zapłonęło w duszy jego i nad trupem młodości stanął w zamyśleniu, jak kochanek nad martwą dziewą uwiedzioną.“

A i pod względem formy nie jest naśladowcą Baudelaire'a, choć można tam czasem odnaleźć nieco podobieństwa, lecz to zarówno o wszystkich wypadłoby rzec dekadentach. Tak np. brak mu zupełnie przecudnej kantyleny (powtarzanie pierwszego wiersza na końcu strofki), za pomocą której różnorodne możemy wywoływać wrażenia, a raczej dwoić niejako wrażenie, wyśpiewane w strofce całej.

Ale wpływ Maeterlincka jest u niego widocznym. Świat przedstawia się dlań jako symbol konkretny świata nieskończonego, metafizycznego. Poezya jego stoi na pograniczu między dwoma światami, odpowiadając chwili, kiedy świadomość zmysłowa Maeterlincka usypia niejako, by dać możność użycia świadomości transcedentalnej. Co dla osobników nienormalnych, chorowitych, lub zajętych więcej życiem duchowem, a przytępiających żądze cielesne, leży jeszcze czasem w świadomości zmysłowej, — to dla innych znajduje się po za tą sferą i nie jest już dla nich zrozumiałem. U Brzeziny świadomość niemal ciągle wyłuskuje się z skorupy cielesnej, by podążać po za ten świat, i chociaż na podobieństwo Maeterlincka, poeta nie może dotrzeć do tajników świata nieznanego, chętnie jednak przebywa w tych mrocznych, niepojętych dla nas krańcach. I opisuje je za pomocą obrazów zmysłowych, widocznych, zrozumiałych dla czytelnika, używając prawie zawsze porównań zapożyczonych z nauk ścisłych, lub z bogatej obrzędowości katolickiej. Tak np. w wierszu „Znameni duse“ mówi: „Twój uśmiech (duszy) jak światła pył iskrzący chwiał się w zmierzchu słów tajemniczym i w *przedłużonych cieniach* myśli“. Bądź używa zwrotów następujących: „Jest smutną dusza ma, a pełna woni tęsknej, — myśl ma *gromnicę*, która w nieczystem ciała lichtarzu trzęsąc się świeci, — umieszczona na *ołtarzu* wiecznym Nieznanego.“

Miriam mówi i słusznie, że koloryt Maeterlincka jest chorobliwy, bolesny, zielonawy. Toż samo rzec można o Brzezinie. Ma on nawet wspólne z Maeterlinckiem szczególne upodobanie do „zielonowości“, a już mimo poety belgijskiego, do „okna duszy“.

Brzezina — to mistyk, lecz również jak Maeterlinck może trochę niewyraźniej) hołduje mistycyzmowi naukowemu, a nie religijnemu. Poeta belgijski rzeczy niepojętych nie uznaje za cudowne, jeno za naturalne, leżące tylko jeszcze w sferze świadomości transcedentalnej i dla tego niezrozumiałe dotąd dla świadomości zmysłowej. Tak samo Brzezina. I co do grzechu nie jest on dlań pojęciem dogmatycznem, jeno ściśle naukowem. — Nie istnieje dlań kara za grzech Adamowy, — ale uznaje on grzech, winę dziedziczną i zależną. W „Legendzie winy“ głosi: „Wszak marnie kroczyłem, gdzie w rytmach zawrotnych życia się trząsł śpiew. *Cień Kogoś*, który za mną dążył, przedemną pływał, szedł z sali do sali — i gdzie wkroczył, tam blask pochodni gasł.“ „O duszo ma! (mówi dalej) zkąd On przyszedł? — Ach, ileż snać wieków! w duszach mych przodków się błąkał, nim doszedł aż do mnie?“

Jako symbolista Brzezina znacznie ustępuje Maeterlinckowi i nie odznacza się tem roiskiem symbolów, wśród którego u poety belgijskiego nader ciężko czynić obroty myślowe.

Najobficiej symbolistyka ta występuje w wierszu „Litość“, przypominającym Maeterlinckowskie „Spojrzenie“, bynajmniej jednak nie naśladującym ślepo wieszcza belgijskiego, — i w pieśni „Wonie ogrodów mej duszy“.

Kadzielnice, gromnice myśli, msze pontyfikalne, ołtarze wieczności, msze zaduszne, śpiewane przez myśli, — spotykamy prawie zawsze, gdy poeta o subjektywnych mówi nam uczuciach, zbliżając się w owych razach więcej ku Baudelairowi, zamiłowanemu w tego rodzaju przenośniach.

Poza tem Brzezina posiada dykcyą nadzwyczaj złożoną, bogatą, nieraz tak zawiłą, że trudno uchwycić myśl w niej się kryjącą. Ton jego muzy jest głęboko przejmujący, jakby świąteczny. Umie narzucać barwy, jakie chce, by wywołać odpowiednie wrażenie. Nastraja też w tym celu cały tok opowiadania. Rytm wewnętrzny jego pieśni zupełnie licuje z treścią i ze spadkiem myśli.

Pienia jego pełne są mistrzowskich poniekąd obrazów i prawdziwszych jak Vrchlicky'ego.

Szczególną pieczołowitością otacza też rymy, używając po większej części rymów żeńskich, stanowczo muzykalniejszych, dźwięczniejszych niż męskie, nadających dziwną miękkość wierszowi i przeciągających go niejako w dal, w nieskończoność.

Przy całem wysubtelizowaniu językowem tok myśli bywa nadzwyczaj u Brzeziny poważny, co nadaje wierszowi jego siłę i pewność. Jest on „dyamentowo twardy“, jak mówi jeden z najlepszych czeskich krytyków Krejči.

Książę dekadentów czeskich ciałem w pewnym stopniu pogardza, nie dba o niego. Jest on niejako ascetą średniowiecznym, wyrafinowaną duchowością. Jest spirytualistą z odcieniem pesymistycznym. Struny jego lutni dźwięczą ciągle nutami tęsknoty boleści, nieszczęścia, zniszczonej młodości, zawiędłych uczuć, zamarłych pragnień.

Wszędzie prawie mówi o sobie, o swych myślach, o duszy, wychodzącej z niego, o dreszczach śmierci i wszędzie niemal pełne boleści słowa wyślizgują się z głębi jego jestestwa. Pomimo to ma on współczucie dla całej ludzkości, jakąś litość dla niej, — i ów Maeterlinckowski „ból wszechstworze-

---

gdzie wśród krzaków biały rozchodnik, niebieska cykorya wyrasta i w południowym słońcu się praży, — tam na krawędzi rowu będę siedział. I będę ciężkim młotem, o krótkim drzewcu, rozłupywał wielkie kamienie, które fale morskie przez lat tysiące krzesały i zaokrąglały — jednostajnie je będę na drobne rozbijał okruchy, by je potem tam pokłaść można, gdzie koła wozów zbyt głęboko grzęzną. I będzie do mnie przybiegał pies domowy i rękę mą lizał i będę się kęsem mym z nim dzielił. I będą mi utrudzeni, piesi starcy i ze śpiewem wesołem przejeżdżająca młodzież pozdrowienia słali. I będzie tak życie koło mnie przeciągało, piękne, wartkie życie, to za troską to za szczęściem się uganiające — i nie będę leniwie siedział, przypatrując mu się, — lecz będę pracę spełniał, którąby inny za mnie musiał objąć. I może dnia pewnego, gdy słońce wysoko na niebo wypłynie, młot mi się z omdlałej wysunie dłoni, i pies jedyny, którego to obchodzić będzie, zawrze mi językiem oczy, wesząc za pożywieniem.

SZCZĘSLIWY. Co ty tu czynisz?

NIESZCZĘŚLIWY. Zapalam świecę *(czyni to)*. Pozwolisz przecie, że obejdę pokój za pokojem dla pozdrowienia jeno i pożegnania się.

(Wychodzą z komnaty i idą powoli, to w górę to w dół, z pokoju do pokoju.)

SZCZĘŚLIWY. To tutaj jadalnia.

NIESZCZĘŚLIWY. Nie potrzebujesz mi jej miejsca wskazywać. Widze ją tam. Jedna ta świeca, którą w ręce trzymam razi mię i oślepia, jak setne światła, — słyszę śmiechy i brzęk szklanek. Ale tam, gdzie ona siedzi, blada domu pani — tam milczenie, wielka cisza.

SZCZĘŚLIWY. Tu pokój, gdzieśmy wieczorem siadywali.

NIESZCZĘŚLIWY. Lampę miała przesłoniętą. Fortepian zamknięty, ja jednak widzę białe jej palce na białych klawiszach i słyszę dźwięki i poznaję nutę.

SZCZĘŚLIWY. A tuśmy często w ciepłe przedpołudnie siadywali, przy otwartych drzwiach od werandy.

NIESZCZĘŚLIWY. Tu we drzwiach siedziała. — w tem niskiem krześle i upajała się powietrzem i szukała.

SZCZĘŚLIWY. Te drzwi — sypialnia.

NIESZCZĘŚLIWY. Przemknijmy cicho koło niej, nie chcę wejść,

SZCZĘŚLIWY. Tu jest...

NIESZCZĘŚLIWY. Wiem. Mały tajemny kącik, gdzie się w godzinach wyczerpania chowała, gdy zimne dreszcze ją przechodziły i gdy uśmiechać się nie mogła. Pod głowę podsuwała poduszkę, widzę jeszcze, jak włos jej na tle jedwabiu połyska.

SZCZĘŚLIWY. Nie dotykaj poduszki!

NIESZCZĘŚLIWY. Nie lękaj się! Nawet, gdyby jeszcze który z jej włosów na niej pozostał, nie zabiorę go. Te drzwi otwarte, to gotowalnia, — bądź spokojny nie przestąpię jej progu. Ale — to tam — co to?

SZCZĘŚLIWY. Jej suknia.

NIESZCZĘŚLIWY. Tak mała, tak mała! Zapomniałem, iż była tak drobną. Mnie ona rosła z dniem każdym. Gdym ją sobie wyobrażał, ręce swe mi na głowę kładącą, pochylała się zawsze ku mnie *(zbliża się)*. Więc to jej suknia istotnie? Tak drobną była jak dziecię.

SZCZĘŚLIWY. Nie dotykaj jej. Nie dotykaj jej, mówię! Nie dotykaj!

NIESZCZĘŚLIWY. Chcę jeno wyczuć, czy tkanina miękka.

SZCZĘŚLIWY. Ni końcem jednego palca. Nie masz do niczego, co jej było żadnego prawa! Precz! Precz! Z pokoju do pokoju skradasz się jak złodziej. Wciągasz w siebie jej oddech, przejmujesz jej wzrok, co na wszystkiem tu spoczywa. Precz! precz ztąd mówię!

NIESZCZĘŚLIWY. Idę, idę! Jestem pomimo tego wszystkiego szczęśliwszym od ciebie, — mnie ty nic ukraść nie możesz, pójdę teraz tłuc kamienie dla gościńców. Gdy kiedy tamtędy przejedziesz w drodze za uciechą spotkają cię oczy me ze skraju drogi nad rowem. Biedny kamieniarz opuści wtedy młot i uchyli czapki, na sposób biedniego człowieka, gdy ty przejeżdżać będziesz.

KONIEC.

nia", według którego „nic na świecie nie jest na swojem miejscu"; zmusza go to do cierpienia nad tym rozdźwiękiem, jaki zachodzi między przeznaczeniem rzeczy i ich życiem.

Z uwag powyższych można wywnioskować, że Brzezina pod silnym był wpływem piewcy belgijskiego, aczkolwiek, trzeba wyznać, postępował dość samodzielnie. Jest to duch nadzwyczaj pokrewny Maeterlinckowi, chociaż bez zaprzeczenia mniej głęboki. Maeterlinck pieśniami swemi torował niejako nowe ścieżki, Brzezina stąpa już po utartych. Zasługa jednak tego ducha, nowożytną wzbogaconego wiedzą, tkwi w tem, że umiał zachować swą odrębność. Poeta ten o nerwach krańcowo wyrafinowanych nie rozprasza się, przeciwnie, on wszystko skupia i analizując siebie zgromadza ostatecznie w jedno odczuwane wrażenia i na ołtarzu je składa Wiecznego.

Tyle o Brzezinie, który bogactwem obrazów, trafnością i rojem porównań z nauk ścisłych, a niezwykłą złożonością i zawiłością zdań wyróżnia się w pewnym stopniu od Maeterlincka, okazując więcej podobieństwa z Baudelaire'm, którego nawet przewyższa odnośnie do „gąszczu słów", za to co do treści w blizkiem jest bardzo pokrewieństwie z twórcą dramatu symbolistycznego, M-ckem, ustępując mu co do głębi myśli, co do twórczości samej, często tak chorobliwej, lecz zarazem tak oryginalnej. Nakoniec Brzezina jest wielkim indywidualistą, M-ck zaś, zwłaszcza w dramatach, jest nim o wiele mniej.

Zestawiając tyle razy te dwa nazwiska obok siebie miałem zamiar wykazać jedynie ich pokrewieństwo duchowe, a nie porównywać ich jako dwóch równych wielkości, bo równe nie są.

Zygmunt Makowiecki.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Uniwersytety ludowe
w Skandynawii.

(Ciąg dalszy).

Po ukończeniu pierwszego kursu zapragnęli młodzi ludzie posłać siostry swe i narzeczone do szkoły Kolda. Nauczyciel nic nie miał przeciw temu i już na następny kurs zjawiło się kilka młodych włościanek. Zastęp ich z czasem stawał się coraz liczniejszy. W szkołach, które zakładano podług wzoru Kolda, znajdowała się tak wielka ilość uczennic, iż zmusiło to do utworzenia dwóch kursów funkcyonujących na przemiany, jeden dla mężczyzn, drugi dla kobiet.

Przykład działalności Kolda, uwieńczonej pomyślnym skutkiem, zachęcił do naśladownictwa. Nowe podobne zakłady powstawały w różnych stronach Danii, lecz dopiero po nieszczęśliwej wojnie w r. 1864 praca na polu oświaty ludowej przybrała rzeczywiście imponujące rozmiary. Zrozumiano, że uszczuplony kraj wykształcić musi olbrzymi zastęp nowych, dzielnych, światłych ludzi, by powetować choć w części straty spowodowane utratą Szleswiku i Holsztynu, ziemi i ludzi. Zrozumiano, że liczyć się teraz trzeba z każdą jednostką, która pozostała jeszcze przy koronie Danii, że siła, rzutkość i dzielność każdego obywatela, każdej obywatelki kraju ważą już wiele na szali egzystencyi nielicznego narodu i że zakładanie uniwersytetów ludowych jest najznakomitszym do przeprowadzenia tych celów środkiem. Przed wojną 64-go roku było w Danii 7 uniwersytetów ludowych, już w r. 1870 liczono ich 30, dziś jest ich 70. Najstarsza przez Kr. Flora w Röding założona szkoła, musiała się wprawdzie cofnąć na północ, umykając przed szponami pruskiego orła, lecz wzniesiono ją na nowo na gruncie duńskim o kilka kroków od granicy niemieckiej, by wpływ jej tworzył tamę oporną przeciw falom germanizmu, płynącym od południa. Do szkoły tej wysyłają Duńczycy swoje w „Volksschuli" niemieckiej udręczone dzieci, by ogrzać mogły serca przysłuchiwaniem się opowiadaniom z historyi ojczystej, wykształcić dusze na skarbach ojczystej literatury. Co rok spotyka się w uniwersytetach ludowych duńskich 5000—6000 młodych ludzi; ogół frekwencyi od czasu założenia pierwszej szkoły do dni dzisiejszych dosięga cyfry 100,000 do 120,000 osób. By przedstawić w należytem świetle znaczenie tych liczb, nadmienić należy, iż Dania liczy ogółem zaledwie dwa miliony mieszkańców, oraz, iż w przybliżeniu *każda dwudziesta osoba* uczęszczała do uniwersytetu ludowego; każda *piąta rodzina* posiada dziś członka wykształconego w szkołach wyższych lub uniwersytecie ludowym.

Przykład Danii podziałał silnie na ościenne kraje. Po roku 1864 założono pierwsze uniwersytety ludowe w Norwegii, wkrótce potem i w Szwecyi. W latach ostatnich ruch ten przeniósł się do Finlandyi i rozszerzył się tam z niezwykłą szybkością. Finlandzka młodzież akademicka wzięła się z młodzieńczym zapałem i niezmordowaną wytrwałością do utworzenia podobnych szkół w kraju ojczystym. Urządzano loterye, koncerta, zabawy ludowe dla zebrania potrzebnych na to funduszy, wysyłano najdzielniejszych i najlepszych mówców na wieś, by pozyskać ludność wiejską dla sprawy wykształcenia. Wielu młodych ludzi udało się do Danii, by się zapoznać na miejscu z funkcyonującemi tam zakładami. Dzięki tym usiłowaniom otrzymała Finlandya w przeciągu kilku lat 13 uniwersytetów ludowych, dla wielu innych poczyniono już prace przygotowawcze: zebrano biblioteki i utworzono zbiory naukowe.

W każdym z wymienionych krajów: w Danii, Norwegii, Szwecyi i Finlandyi noszą uniwersytety ludowe nieco odmienny charakter, jestto naturalnem — zależą one bowiem w znacznej mierze od charakteru narodowego, od obyczajów i potrzeb danego ludu. W ogólnych zarysach atoli kierunek ich i dążenia pozostają we wszystkich krajach jednakowe. Wspólnym wszystkich tych szkół celem jest rozbudzić, ożywić, zapalić młodzież — wychować szczęśliwych, dzielnych ludzi, młodzieńczej epoce życia przywrócić prawa właściwych lat szkolnych, lat poświęconych kształceniu się w tej formie, w jakiej to czynią wszechnice. Słusznie nadane im zostało z tego powodu miano „uniwersytetów" ludowych.

O wykładach, wewnętrznem urządzeniu oraz życiu uczniów w tych szkołach podaje panna Friberg liczne wiadomości, zebrane przy osobistem ich zwiedzaniu, oraz na prelekcyach miewanych w Finlandyi, Norwegii i Danii.

I tak uniwersytety ludowe znajdują się na wsi, i zajmują własne budynki, nieliczne tylko zakłady zmuszone są brakiem środków lokować działalność swoją w domach wynajętych. W budynku głównym znajduje się jedna lub dwie sale wykładowe, sala gimnastyczna, biblioteka, czytelnia, pokój stołowy i zazwyczaj mieszkanie przełożonego, — na piętrze i w budynkach sąsiednich mieszkania uczniów.

Jednem z zadań szkoły jest dać uczniom nietylko teoretyczne wykształcenie, lecz przyzwyczaić ich także do uczciwego, spokojnego, rodzinnego życia. Dla tego też, mieszkając w szkole, uczniowie obcują codziennie z rodzinami nauczycieli, obiadują przy jednym z niemi stole, w wolnych godzinach przebywają naprzemian w czytelni lub w pokoju przeznaczonym do zabaw towarzyskich. Kurs nauk trwa 6 miesięcy, od 1 października do 1 kwietnia, lub od 1 listopada do 1 maja, zależnie od warunków miejscowych. Czas ten zużytkowuje się bardzo sumiennie. Codziennie wysłuchują uczniowie 5—8 wykładów; dodać do tego należy praktyczne zajęcia; tak np. dla mężczyzn ogrodnictwo, gospodarstwo rolne, buchalteryę, rysunki, wyrabianie przedmiotów z drzewa; dla kobiet: tkanie, przykrawanie odzieży, w niektórych szkołach przygotowywanie potraw etc. O dwóch przedmiotach wykładowych: języku ojczystym i historyi, wspominaliśmy wyżej. Oba te przedmioty bywają nader gruntownie opracowywane. I tak wykład historyi zajmuje np. każdej zimy około 300 godzin. Dodać należy, iż w zakres wykładów historyi wchodzi, oprócz dziejów ojczystych i ogólnych, także mitologia, prawodawstwo, rozbiór i wyjaśnienie rozmaitych systemów państwowych, rząd krajowy, samorząd gminny i statystyka. Z nauk przyrodniczych wykładają: zoologią, botanikę, fizykę, chemię, hygienę, geografię i matematykę, w niektórych szkołach zaprowadzono też wykłady astronomii, geologii i mineralogii, — w szkole w Askow (Jutlandya) wykład języka angielskiego.

Nasunąć się tu może pytanie, czy różnorodność ta i rozmaitość przedmiotów wykładowych nie przyczynia się do rozwinięcia powierzchownego wielowiedztwa i pseudowykształcenia w słuchaczach? Wieloletnie doświadczenie upoważnia jednak do przeczącej odpowiedzi. Młodzi ludzie kształcący się w uniwersytetach ludowych, nawykli do wytrwałej i ciężkiej pracy fizycznej i pracowitość ta i gruntowność jest również charakterystyczną dla ich dziedziny duchowej.

Nie wyczerpane, lecz świeże, wypoczęte siły umysłowe przynoszą z sobą i w tem należy szukać przyczyny zdumiewająco szybkich postępów i rozmiaru w tak krótkim stosunkowo czasie przyswajanych wiadomości. W prostych tych umysłach powstaje mnóstwo pytań, z radością więc witają możność otrzymania odpowiedzi, wykazując ogromną pilność i zapał do nauki. System nauczania jest w uniwersytetach ludowych całkiem odmienny od systemu panującego w klasycznych i realnych gimnazyach; niczego się tam nie uczy „do egzaminu", uczniowie po ukończeniu kursu nie otrzymują nawet żadnych świadectw. Cel tych szkół bowiem jest przedewszystkiem praktyczny: chodzi bowiem o pogłębienie myśli, zaostrzenie sądu, rozwinięcie moralne i duchowe. Wykłady z historyi np. nie ograniczają się na wyliczaniu wojen, bitew, dowódzców i dat chronologicznych, — przeciwnie: na szczegóły te kładzie się nader słaby nacisk, lecz tem więcej poświęca się czasu badaniu przyczyn i skutków historycznych wydarzeń, porównywaniu rozmaitych epok pomiędzy sobą, charakterystyce osobistości, których życie i czyny zapalić mogą do naśladownictwa, wpajając w dusze miłość prawdy, cnoty, uczciwości. Po trzech godzinach wykładu następuje zwykle godzina repetycyi, podczas której może nauczyciel zbadać czy uczniowie pojęli dokładnie przedmiot wykładu, a ci ostatni żądać wytłomaczenia punktów, które im jeszcze pozostały niejasne.

Ważną rolę odgrywa w tych szkołach śpiew solowy i chóralny. Każdy wykład lub lekcya zaczyna się śpiewem i śpiewem też bywa zakończona. Do śpiewników szkolnych dostarczyli najwybitniejsi poeci skandynawscy materyału.

Kilka wieczorów w tygodniu poświęcone bywa wspólnej dyskusyi. Uczniowie nabywają przez to wprawy w jasnem i zwięzłem przedstawieniu myśli, jako też rozważania każdej kwestyi z rozmaitych stron i punktów widzenia, uczą się też jednocześnie przewodniczenia większemu zgromadzeniu, spisywania protokółów etc. Często poruszane bywają pytania z dziedziny etyki, np. znaczenie i wartość pracy cielesnej, — znaczenie uprzejmego obejścia w życiu, najlepszy sposób zużytkowania godzin wolnych itd. Atoli często i praktyczne kwestye, jako to gospodarstwo rolne, prawo gminne itp., wybierane są za tematy dyskusyi. Wieczory takie mają dla uczniów wiele uroku i każdy wypowiada swobodnie swe zdanie, mówi z zupełną szczerością i ufnością, przez co rozprawy przybierają charakter ożywiony i urozmaicony. Okoliczna ludność wiejska schodzi się też do szkoły na takie zebrania, zarząd szkolny nie stawia temu, ma się rozumieć, żadnej przeszkody. W wielu szkołach wydają młodzi ludzie ulotne pisma lub i większe „gazety“, z artykułami wstępnemi, opowiadaniami, wierszami, z zapytaniami i odpowiedziami; — gazeta taka odczytywaną zwykle bywa na zebraniach wieczornych, lub zgromadzeniach dyskusyjnych.

Religia nie wchodzi w zakres przedmiotów wykładowych uniwersytetów ludowych. Wydawać może się to dziwnem z tego powodu iż założycielem szkół tych był duchowny, — i to nader pobożny. Pozorne to przeciwieństwo wyjaśni się skoro dodamy, że Grundtwig nacisk kładł na *chrześciaństwo czynów*, potępił zaś czcze dogmatyzowanie. „Litera zabija — duch tylko wlewa życie“ — mówił — i „Religie w sercu nosić trzeba, nie na ustach“, — miłość bliźniego powinna świecić z każdego słowa, każdego czynu nauczyciela, — tylko drogą przykładu wszczepić się daje prawdziwy chrześcianizm w młode serca. Dla tego też usunął Gr. wykład religii, jako przedmiotu programowego, starając się natomiast, by cały kierunek i duch szkoły wpłynął na ucznia podniośle i umoralniająco. Zasady te założyciela przenikły i późniejszych kierowników uniwersytetów ludowych. Panuje w nich czysta, zdrowa atmosfera moralna, serdeczność i braterstwo łączy uczniów pomiędzy sobą i z nauczycielami. Częstokroć przybywają do zakładu młodzi ludzie przytępieni, zmęczeni życiem, pozbawieni wszelkich ideałów, — a odchodząc ztamtąd, uczywają, iż odnaleźli dawną wiarę w ludzkość, wynoszą w sercach nowe, wzmacniające uczucia i nadzieje. Piękne to pożycie uczniów i szlachetny kierunek duchowy zawdzięczają uniwersytety ludowe w pierwszej linii nauczycielom w nich pracującym. Liczba profesorów jest różną. W zakładach najprostszych i najmniejszych jest ich 3 - 4, w wyżej wymienionym, wzorowym zakładzie w Askow jest 10, w niektórych latach 12, pomiędzy nimi znajdują się naturalnie i siły kobiece. Emancypacyjne dążności kobiet mają w uniwersytetach ludowych najsilniejsze poparcie i najszczerszych przyjaciół.

(Dokończenie nastąpi).

JERZY BRANDES.

DWÓR WIEJSKI

w Krolestwie Polskiem.

(Listy z 1894 roku.)

(Ciąg dalszy.)

VI.

Małe i samo przez się niewiele znaczące wydarzenie, które miało miejsce wczoraj, rzuca pewne światło na warunki w jakich tu żyje ta część ludności, której uciemiężenie i zgnębienie ostateczne leży w interesie Rosyan, jakoteż wykazuje jasno, jak niemiłemi są stosunki zamożniejszej klasy ze służbą i niższymi w tej okolicy.

Zaproszeni w sąsiedztwo, udaliśmy się tam, by spędzić razem wieczór, a gdy zasiedliśmy do kolacyi, niezwykle hałaśliwy sposób podawania talerzy przez służącego zwrócił naszą uwagę. Przerwały się rozmowy, jedni przypuszczali, że lokaj musiał być pijany, inni sądzili, że mu tylko chodziło o ustawienie złoconej litery *W*, na krawędzi talerzy, naprzeciw każdego gościa, o co się starał widocznie, wkrótce jednak przeszliśmy do innych tematów; lecz zaledwie skończyła się kolacya i całe towarzystwo udało się do obok położonego salonu, usłyszeliśmy przeraźliwe krzyki. Wyżej wspomniany służący, któremu wódka odebrała przytomność, wpadł w szał istotny, a zaopatrzywszy się w ogromny nóż w kuchni rzucił się z nim na stróża. Odebrano mu nóż, lecz nie przestawał krzyczeć i hałasować, biegając tam i napowrót po obszernym predsionku, zatrzymując się chwilami dla zapalenia sobie papierosa, grożąc zabiciem i łając obecnych ostatniemi słowami po rosyjsku (służył poprzednio w ruskim domu). Jego zachowanie się było o tyle niepokojącem, że nie uważano za bezpieczne trzymać go przez noc w domu i zdecydowano się jednomyślnie na oddanie po policyą. Okazało się jednak, że najbliższy strażnik mieszka ztąd dość daleko, tak, że przy największym pospiechu będzie go można sprowadzić zaledwie za godzinę. Upłynęły dobre dwie zanim się zjawił. Tymczasem trzeba było pilnować i doglądać waryata, który zachowywał się wciąż niespokojnie. Zwróciłem uwagę jednego z młodych panów domowych, że człowiek ten zbliżył się do jakiejś szafy; odpowiedział mi na to, że tam są jego własne rzeczy i nie uważał za właściwe pilnować go, gdy ją otwierał, lecz po chwili tego pożałował. „Aj! — krzyknął — wyjął z szafy rewolwer mego brata, który ukradł zapewne z kieszeni jego paltota, nie mów pan tylko nic o tem paniom“. Te jednak spostrzegły wkrótce, że szaleniec latał z nabitym rewolwerem w ręku wznosząc go w górę, machając nim na wszystkie strony i niektóre zaczęły się mocno obawiać, gdy nagle wypadł strzał.... Dwie, blade jak ściana, służące, wpadły do pokoju wołając: „teraz strzela!“ wszyscy się rozbiegli, jedni by powstrzymać możliwe nieszczęście, inni by się ukryć przed niebezpieczeństwem. Okazało się, iż lokaj ten, który pozostawał w służbie zaledwie od miesiąca i sześciu dni, był niebezpiecznym człowiekiem. Dziewczęta opowiadały, iż zeszłej niedzieli, gdy państwo nie byli w domu, prawił coś o podpaleniu dworu „by wydusić razem całe gniazdo“ i niejednokrotnie już odzywał się z rzeczami w podobnym rodzaju. Pan domu posłał po pięciu włościan ze wsi, by mu dopomogli w ujęciu tego łotra, ale żaden z nich nie śmiał ani palcem go ruszyć, wyglądali przytem jakoś dziwnie ponuro i nieprzyjaźnie. W ostatnich czasach chłop tutejszy tak jest nieustannie podżegany przeciw swym panom i ich rodzinom przez najróżnorodniejszych zagranicznych agitatorów, że sprawia mu radość nieledwie, gdy ci się znajdą w kłopocie. Rosyanie cieszą się niezmiernie z tego usposobienia i rozdmuchują ogień jak mogą. Dość jest dla przekonania się o niem przejść się po wsi; starzy włościanie witają przechodnia grzecznem „niech będzie pochwalony“, na co się odpowiada „na wieki wieków“, młodzi nie ukłonią się i nie przemówią nigdy. Przed wielu już laty, przy rozmowie o możliwej rewolucyi w Rosyi, powiedziałem: „szczególna to będzie rewolucya, gdy chłopi zaczną palić dachy nad głowami swych liberalnych panów za ich wolnomyślność“. Teraz przekonałem się dowodnie o prawdzie tego twierdzenia. Propozycya moja, byśmy sami ubezwładnili tego hultaja, została bez wahania odrzuconą i zadziwiła nawet obecnych. „Chyba po to, by policya stanęła po jego stronie i nas zaaresztowała zamiast niego.“ Gdy jednak zamierzał strzelać powtórnie, rzucił się nań furman, mający więcej odwagi niż jego panowie, i choć sześciu ludzi z trudnością dało sobie z nim radę, związano go i ubezwładniono, niemniej z obawy przed policyą przyniesiono miękką pierzynę, na której go położono i trzymano, bo się rzucał i wrzeszczał jak opętany. Nastąpiła chwila ciszy i spokoju, wreszcie turkot się rozlega i nadjeżdża strażnik, niepozesna figurka w mundurze, z okularami na nosie, długimi, przygładzonemi w tył włosami i wyrazem fizyonomii, zdradzającym głupotę, niezdarność, drobiazgowość i pedanteryą. Zaczyna od przesłuchiwania świadków, lecz z obawy zemsty służącego, gdy zostanie wypuszczonym na wolność, nikt nie chciał świadczyć przeciwko niemu. Stróż nic nie wie o tem, że ten na niego rzucał się z nożem, dziewczęta nie słyszały groźb jego i podżegań, rewolweru, który rzucił w krzaki w ogrodzie na razie znaleźć nie można w ciemności, jednem słowem wychodzi na to, że państwo, którzy kazali go związać, są winni jedynie. Proponują strażnikowi pieniądze, lecz, że zrobiono to nieostrożnie i niezręcznie w obecności innych, odrzuca propozycyą z godnością. Przystępują do przejrzenia tego, co znaleziono przy obwinionym: najprzód pugilaresik pełen biletów wizytowych, jakiejś ruskiej baronowej (służba lubi sobie przywłaszczać bilety wizytowe swych państw, by potem niby w ich imieniu żądać różnych towarów z magazynów, do których ich posyłano) jakieś narzędzie do lania kul i inne drobiazgi; rozpatrzywszy te rzeczy urzędnik kazał rozwiązać skrępowanego, ten zaś czując się wolnym zaczyna hałasować na nowo. Twierdzi, iż nie opuści tego domu, nim mu nie zapłacą pensyi za trzy miesiące, jakkolwiek służył tylko miesiąc i sześć dni: lubo chwila obecna nie zdaje się nadawać do rekrymin acyi z jego strony, gdy jest aresztowanym za rzucanie się z nożem i strzelanie z rewolweru do ludzi, strażnik popiera jego zdanie i powiada, że zabierze go ze sobą. „Chodzi mu niemało o to, by więzień jego był dobrze zaopatrzony w pieniądze — mówi do mnie Henryk — zaledwie znajdą się na bryczce, natychmiast rozpoczną się układy o to, ile ma wziąć za dozwolenie, aby ów niby aresztowany zeskoczył z wozu i zniknął w ciemności. Za pół godziny łotr ten może być tu napowrót i podpalić zabudowania, jeżeli się nie ośmieli podłożyć wprost ognia we dworze“. By zapobiedz tej ewentualności udają obawę o tak cenną osobę urzędnika, któremu grozi niebezpieczeństwo znalezienia się sam na sam z uwolnionym ze swych więzów przestępcą i dodają mu dla pewności jednego z najzaufańszych sług w domu. Nie idzie zatem by to, czego się obawiano, nie mogło się stać w innej chwili, dziś naprzykład. Nareszcie odjechali, a ja sądziłem, że ten niemiły epizod, który nam tak zakłócił przyjemność tego wieczora, jest skończonym i będzie wkrótce zapomnianym, to też z największem zdziwieniem, wróciwszy do salonu, znalazłem panie przybite i niespokojne. „Ale czegoż panie się jeszcze trwożą — spytałem — gdy się rzecz skończyła i przeszła szczęśliwie“. „Łatwo to mówić panu, który za parę tygodni będziesz setkami mil od nas oddalony — rzekła mi młoda gospodyni domu,

nic się jeszcze nie skończyło i nie przeszło szczęśliwie, wy się rozjedziecie w różne strony, my tylko z moim mężem pozostaniemy na miejscu i wszystkiego obawiać się możemy. Ten człowiek będzie się mścił na nas, za to, żeśmy go związali i albo zabije nas albo ogień nam pod dom podłoży, gdyż tak się kończą zwykle sprawy tego rodzaju. Szwagier mój znalazł jednego razu parę koni, pasących się na jego polu, kazał więc je zająć, a gdy nazajutrz właściciel ich przyszedł dopomnieć się o nie, kazał mu zapłacić 50 kopiejek kary. Chłop zaczął lamentować i skarżyć się, że jest biedny, że nie ma czem zapłacić. „Nie, tym razem musisz mieć karę, niewielka to suma i nic dla ciebie nie znaczy, bo nie jesteś biednym, masz 8 koni, z których niedawno cztery puściłeś także na moje pastwisko.“ Chłop zapłacił, lecz tegoż wieczora, skradając się z widłami od siana, zaszedł mego szwagra z tyłu i zabił go jednem ich uderzeniem. Przeszło mu to prawie bezkarnie dla braku dowodów.

„Istotnie smutne wiedziemy życie i niebezpieczne są otaczające nas warunki, przy takiem wszechstronnem skrępowaniu — dodał jeden z sąsiadów — wypędziłem w tym roku na wiosnę służącego złodzieja i już od tego czasu dwa razy były podpalenia w moim dworze. Nikt nie wątpi nawet o tem, kto jest ich sprawcą, ale nie mogę mu dowieść niczego.

Wyjechaliśmy ztamtąd około drugiej w nocy, ale nie udało nam się rozproszyć ani na chwilę ogólnego przykrego nastroju i przygnębienia. Gdy wracając do domu przebiegałem myślą wypadki owego wieczora, uderzyło mię, do jakiego stopnia wywołane ogólnym uciskiem polityczne i społeczne nieporozumienia i zatargi odzwierciadlają się w tem marnem dzisiejszem zajściu.

Przyszło mi na myśl położenie Galicyi w 1846 roku, gdy chłopi, których panowie chcieli nakłonić do przyjęcia udziału w powstaniu, dzięki kłamliwym podżeganiom wysłańców austryackiego rządu, rzucili się jak jeden mąż z całą wściekłością na szlachtę, która według ich mniemania przeszkadzała cesarzowi w dokonaniu zmian dla ich dobra. W przeciągu trzech dni 2000 mężczyzn, kobiet i dzieci wyższego stanu zostało wymordowanych i zasiekanych na śmierć. Widać ciężkie były niegdyś winy panów względem chłopów, gdy podobna rzecz była i jest jeszcze możliwą, dziś jednak właściciele majątków są o tyle ludzcy i sprawiedliwi, że tylko nieświadomość, nierozwinięcie i zwierzęcy niedźwie, a tak starannie utrzymywany przez Rosyan, stan chłopa, jest przyczyną tej niedoli i nienawiści. Ucisk wszechstronny jest przyczyną, że wszystko tu, nawet rozdźwięk klasowy, staje się wprost karykaturą tego, czem jest w całej Europie. Dziwnem wydawać się może, iż pomimo niechęci do klas wyższych, niższa tutaj (jak może w żadnym innym kraju) nierównie głębiej jest przejętą kwestyą narodową niż socyalną. Nie do pojęcia prawie, że ta walka klasowa tak zajadle się tocząca w dzisiejszych czasach wszędzie, nie znalazła odpowiedniego dla siebie gruntu w Polsce i nie zawadziła o nią prawie. Niechęć pospólstwa tutejszego do Rosyan jest stokroć żywszą, niż do panów, Rosyanin jest pogardzanym przez nich, jako niekatolik, a najgorszem połajaniem u nich jest „moskal“. Od panów dzielą ich tylko ekonomiczne warunki, pomiędzy zaś Rosyanami a niemi stoi o wiele groźniejsza siła, bo religia, która tutaj ma największe znaczenie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z estrady i sceny.

(Balladyna).

Kochał Słowacki Balladynę swoją. Gdy między ludzi szła straszna i ponura w fantastycznym orszaku legendowych królów, rycerzy, sylfów i duchów wyśpiewał jej pod adresem „poety ruin“ cudną uwerturę, a w listach do Matki swojej takie szeptał zwierzenia:

„W przeciągu miesiąca upłynionego napisałem nową sztukę teatralną, — niby tragedyą pod tytułem Balladyna. Z wszystkich rzeczy, które dotychczas moja mózgownica urodziła, ta tragedya jest najlepszą, zwłaszcza, że otworzyła mi nową drogę, nowy kraj poetyczny, nietknięty ludzką stopą, kraj obszerniejszy niż ta biedna ziemia, bo idealny. Zobaczysz kiedyś, Mamo kochana, co to za dziwna kraina i czasy. Tragedya cała podobna do starej ballady, — ułożona tak, jakby ją gmin układał, — przeciwna zupełnie prawdzie historycznej — czasem przeciwna podobieństwu do prawdy; *ludzie jednak starałem się, aby byli prawdziwi i aby w sercu mieli nasze serca...*

„O gdyby stanęła kiedyś przy królu Lirze! — Szekspir i Dant są teraz moimi kochankami.“

A potem gdy współczesna krytyka i publiczność z wzdrygnięciem ramion lub chłodną obojętnością przeszła nad Balladyną do porządku dziennego, skarżył się Słowacki w stancach Beniowskiego na sądy ujemne, czasem idjotyczne:

„Nie podobało się już w Balladynie,
Że mój maleńki Skierka w bańce z mydła
Cicho po rzece kryształowej płynie,
Że bańka się od gazowego skrzydła
Babki — konika rozbija i ginie,
Że w grobie leżąc Alina nie zbrzydła,
Lecz piękna z dzbankiem na głowie martwica
Jest jak duch z z woni malin i księżyca.

„Nie podobało się, że Grabiec spity
Jest wierzbą, — że się Balladyna krwawi,
Że w całej sztuce tylko niezabity
Sufler....“

Jeden tylko Zygmunt Krasiński nie podzielał ujemnych opinii, mających kurs w ówczesnem społeczeństwie.

On w Balladynie widział nie tylko najpiękniejszą perłę literatury polskiej, lecz klejnot nad klejnotami w koronie literatury wszechświatowej:

„Com przed laty myślał o siostrze Aliny — pisze w r. 1840 do Juliusza — to samo do dziś dnia myslę. *Midsummer night'sdream!* (Sen nocy letniej). Nic doskonalszego a jednak rzeczywistszego co do formy i treści swojej nie ma na świecie.... Julku, zaklinam Cię, nie dbaj o te gwary, co kiedyś nawrócą się do Ciebie. Trzymaj na kształt harfy eolskiej duszę Twoję wyżej nad wszystkie dłonie ludzi, wśród powiewów nieba. Niech myśli Boga, promienie gwiazd i skrzydła przelatujących aniołów grają na niej — a nie myśli ludzi, redakcye paryskie, zdania, uwagi, naprawy.“

A potem jeszcze w liście do Gaszyńskiego, w poznańskim „Tygodniku literackim“ (rocznik IV) i w krakowskim „Czasie“ snuł złocistą tkankę zachwytów swoich nad dziełem, „które w głowie Słowackiego duch Szekspira porodził“:

„W Balladynie — mówi — jest najpiękniejszy *midsummer night'sdream,* najpiękniejsza epopea, ale nie homeryczna, jak „Pan Tadeusz“, tylko Aryostowska, sama z siebie żartująca, pryskająca na wszystkie strony, fontasmagoryczna, kapryśna, swawolna itd.“

Późniejsza krytyka sprowadziła zachwyty Krasińskiego do właściwej miary, — ale nikt, ani Nehring, ani Małecki, ani Bełcikowski, ani nieubłagany wróg Słowackiego Tarnowski nie mogli odmówić Balladynie pierwszorzędnych piękności. Mnie Nehringowskie postawienie kwestyi wydaje się najbliższem prawdy, bo analiza Małeckiego podsuwa, zdaniem mojem, poecie błędne intencye i motywy tworzenia, a Tarnowski posuwa się za daleko w sprowadzaniu oryginalnych pierwiastków Balladyny do zera, w przesadnem generalizowaniu wpływów Leara, Macbetha i Snu nocy letniej. Kończę zatem tę pobieżną notatkę o krytykach Balladyny następującem zdaniem wrocławskiego profesora:

„Jest to poemat prześliczny i pełen poezyi a w tej poezyi jest pełno zieloności i woni wiosennej, czuć w niej tchnienie i siłę wracającej z obumarcia zimowego do życia natury. To jest poezya, która tchnienia natury zamieniła na słowa i widzenia. Krasiński najtrafniej ją ocenił, że to jest najpiękniejszy Szekspirowski „Sen nocy letniej“, nam niech będzie wolno tę interpretacyą dodać, że jest to najpiękniejsze udramatyzowanie wiosny, w duchu Szekspira poczęte“.

* * *

Pokusić się o stosowną wystawę Balladyny może tylko scena rozporządzająca wielkim personałem, pierwszorzędnemi siłami i doskonałą mechaniką teatralną. Dziwić się zatem nie można, że, mimo wypożyczonych z niemieckiego taatru kostyumów, zakrawała ta *poznańska* Balladyna chwilami na karykaturę.

Jeżeli jednak cofniemy się pamięcią 6 lat wstecz i porównamy ówczesną wystawę z tegoroczną, to bądź co bądź pokłon oddamy reżyseryi obecnej. Wówczas była to od początku do końca parodya Słowackiego, dziś gdzieniegdzie znac było staranność i szacunek dla utworu mistrza. Przynajmniej maszynerye, z wyjątkiem piorunów, funkcyonowały prawidłowo, przynajmniej scenerya w niektórych momentach była stylową i pełną. Krzyczący anahronizm stanowił tylko widok wsi o piętrowych domkach pokrytych dachówką. Dla uzupełnienia humorystycznego efektu należało jeszcze ukazać dymiącą lokomotywę, słupy telegraficzne i latarnie elektryczne.

Wręcz komiczne wrażenie sprawiała też uczta na zamku Kirkora. Wspaniały był to bankiet zaiste. Około stołu zasiadło trzech rycerzy, na tronie Grabiec, na poręczowych krzesłach Balladyna i Kostryn — no! wreszcie Skierka i Chochlik — nikt więcej.

W takiem otoczeniu, nieruchomem nadomiar i sennem, ta straszna scena przekleństw i halucynacyi skurczyła się i zbladła. Tu trzeba tłumów, trzeba wrzawy biesiadnej, trzeba wielkich kontrastów, a jeżeli dyrekcya wprowadza do „Kościuszki pod Racławicami“ całe zastępy statystów, to należało dla tragedyi Juliusza przynajmniej tyle okazać pietyzmu, ile się okazuje efektownej bombie Lassoty. Kostyumy męzkie odznaczały się dziwną pstrokacizną, Balladyna jednak. Alina i Goplana ujawniły w toaletach swoich sporo smaku, stylu i artyzmu. Uderzał tam wprawdzie gdzieniegdzie charakter bizantyński, lecz trudno fantastyczności praw wszelkich odmówić w tych mrokach balladowej epoki, w krainie cudów i czarów. Czego jednak wybaczyć nie mogę kierownikom teatralnym, to potwornego amputowania utworu. Nie wiem, czy reżyseryi wiadomo, że Małecki w drugim tomie swojego studyum o Słowackim podał najdokładniejszy plan przykrojenia Balladyny do wymagań scenicznych, a lubo warunki teatru naszego wymagałyby może jeszcze kilku zmian, skróceń i poprawek, to utwór w takich kształtach wprowa-

dzony na scenę wywarłby niezawodnie korzystniejsze wrażenia od szarpaniny poznańskiej. Zwracam tu mianowicie uwagę na zwyczaj panujący u nas, że każdy aktor urabia sobie i obcina rolę według własnego widzimisię, a z takiej procedury rodzą się istne dziwolągi. Dla przykładu przeciwstawię tu maleńki wyjątek oryginału teatralnej korekcie.

W końcowej scenie Balladyny kładzie poeta w usta *Wdowy* słowa następujące:

„Na dzieci
Skargę zanoszę... Mówią, że królowa
Piękna jak Anioł, niechaj ona sądzi...
Miałam dwie córki, stara, biedna wdowa, —
Żywiłam obie... Jak to często błądzi
Człowiek na ziemi, czekając pociechy.
Młodsza uciekła z pod matczynej strzechy,
Niedobre dziecko. Lecz druga — o Boże!
Królowo moja, ty jak anioł biała,
Sądźże ty sama! — druga poszła w łoże
Wielkiego grafa: bogdajbym skonała,
Jeśli ja kłamię; graf ją wziął za żonę. —
Królowo moja, bogdaj ci koronę
Bóg wiecznie trzymał na tej mądrej główce,
Osądź!

Z powyższego ustępu ulepiła sobie korekta teatralna takie literackie cacko:

„Na dzieci
Skargę zanoszę . . . .
. . . .
Miałam dwie córki, stara, biedna wdowa, —
. ywiłam obie . . . .
. . . .
Młodsza uciekła z pod matczynej strzechy,
Niedobre dziecko. Lecz druga, — o Boże! —
. . . . Druga poszła w łoże
Wielkiego grafa . . . .
. . . . Graf ją wziął za żonę
. . . .
. . . .

Tak się u nas poprawia poetę.

Z artystów występujących w „Balladynie“, należy się pierwsze miejsce bez wątpienia przedstawicielce roli tytułowej, *p. Paszkowskiej*. Była ona zbrodnią, wcieloną w kształty kobiece, groźną, posępną i straszną. Twarz swoją ubierała w chmury i fosforyczne blaski błyskawic, a w głosie jej grały wszystkie furye występku: Strach, okrucieństwo, cynizm, fałsz i ponura determinacya. Z tej demonicznej postaci wychylała wprawdzie chwilami zaambarasowane oblicze nowicyuszka sceny, gdzieniegdzie wprawdzie nie wyzyskała artystka efektów, gdzieniegdzie mówiła nam deklamacyą zdyszaną, że nie przyswoiła sobie jeszcze ekonomii oddechu, gdzieniegdzie ruchy nadto szerokie raziły oko estetyka, ale kreacya Balladyny, jako całość, była wręcz niepospolitem w teatrze naszym zjawiskiem. Zdawało mi się chwilami, że mrok stężały występuje na scenę, taka groza i taka noc straszna biły z tej postaci. Artystka odczuła wszystkie intencye autora i każdy cień zbrodni znalazł w niej tłomaczkę, — najpotężniejszą jednak była w scenie owej, gdy w głuchym lesie szatan zazdrości szepcze jej do ucha, gdy myśl występku tak ją oślepia, że malin nie widzi, a potem w muzyce wichrów słyszy straszny okrzyk: „Zabita! zabita, zabita!“, Zrazu targana niepokojem głuchym, z piętnem drgającego pomieszania na twarzy, później oszalała trwogą, uwydatniła tu Balladyna subtelniej niż w którejkolwiek innej scenie, całą psychologię świeżej jeszcze zbrodniarki. Był to moment prawdziwie artystyczny, a dorównał mu chyba monolog i dyalog z Kostrynem, poprzedzający zabicie „króla dzwonkowego“. Tu mimika p. Paszkowskiej zagrała prawdą przerażającą, a rzadko zdarzyło mi się widzieć tak mistrzowską interpretacyę strachu. Cała scena zaludniła się grzechotem szkieletów i jękiem upiorów, zdawało się, że duchy niewidzialne pełzają po scenie i szepczą.

W przeciwstawieniu do „tej kobiety alabastrowej z oczami co jak węgle łyskają z pod rzęsy“ stworzyła pani *Majdrowiczowa* wyjątkowo typ nie rażący ani płaczliwością swoją, ani zmanierowaną mimiką. Alina jej pachniała wiosną i malinami i była jak w kształty ludzkie uwięziony sen dziewiczy o rycerzach i zaklętych królewnach. Na żywe uznanie zasługuje również gra pani Królikowskiej w roli „Wdowy“ nieszczęśliwej. Ta prosta kobieta, której, jak mówi Alina, „do twarzy, kiedy śni głośno o szczęściu swych córek“, ta w posąg boleści zamieniona matka Balladyny imponowała rzeczywiście realizmem swoim i grozą. Pani Królikowska nie zdobyła się już dawno na tyle prawdy i siły, a najgłębsze wrażenie wywarła w chwili, gdy z klątwą na ustach szła jak Lear Szekspirowski w noc ciemną, w szalejącą burzę. Zimną natomiast i sztuczną wydała mi się w scenie sądu. Nie było tam tego ogromu matczynej miłości, który zbrodnię przebacza i woli zginąć na torturach niż córkę na pień zaprowadzić.

Umarła cicho. A na suchej twarzy
Dwa wykopała dołki śmierć kościana,
A w obu dołkach stoją łzy.

Kreacyi Goplany, odtworzonej przez *p. Vernon* nie uważam za szczęśliwą. Artystka bowiem zewnętrznie stworzyła wprawdzie typ z „mgły i galarety“, — nadziemskiego zjawiska utkanego z obłoków, lecz głos jej nieczysty mało posiada śpiewności, a bez niej królowa elfów, fantastyczna bogini Gopła, płynąca za kluczem żurawi, nie w rosę się rozpływa, lecz w piasek. Zapachów róż i lilii wodnych tam nie było.

W otoczeniu Goplany jeden tylko Skierka, w interpretacyi pani *Jakubowskiej*, stanął na wysokości zadania swojego. Powiewny „jak liść ajeru“, migotliwy jak ognik błędny, lekki jak bańka mydlana z baletowym wdziękiem i zręcznością uwijał się po scenie. Chochlik panny *Ogińskiej* natomiast, skaczący w tempie mazurowem w tem królestwie czarów, wywierał raczej wrażenie zielonej żabki niż nadziemskiego sylfa.

Z przedstawicieli ról męskich pierwszeństwo oddaję p. *Grabowieckiemu* w roli Filona. Artysta ten wyposażył anachroniczną, jakby żywcem z sycylijskiej sielanki wykradzioną i dziwnym kaprysem poety na tło przedhistorycznej Słowiańszczyzny rzuconą postać, w iście księżycowy sentymentalizm, w zapach piżmowych listów i ckliwe tony gitary. Takiego Filona stworzyć mógł tylko inteligentny artysta, który poznał i zrozumiał ducha sielankowej epoki i studyował typy łzawych Endymionów, kochających tylko wtedy, jeźli płakać mogą. Z innych artystów wymieniam p. *Jakubowskiego* w starannie wycieniowanej i odczutej roli Kostryna i p. *Knaprzyńskiego* w trudnej roli „dzwonkowego króla“. Ten „chłop rumiany“ miał dużo humoru, szkoda tylko, że z grubej Grabcowej skorupy wyglądał lekki, elegancki amant, kaleczący nadomiar perłowe wiersze Juliusza. *W. R.*

Na Wyłomie.

(Jeszcze o poezyach p. Mizerskiego. „Kuryer“ pali na stosie klasyków. Eusapia Palladino, a Czyński.)

Jeżeli cośkolwiek ten niepoprawny legion heretyków, który na poznańskim gruncie ochrzcono generalnem mianem „Młodej Polski“, przyznać może „Kuryerowi Poznańskiemu“, to chyba jedną stylowość. Wszędzie on równy, wszędzie jednolity. Czy się zabierze do polityki, czy nosek swój wścibi w kwestye społeczne, czy nożem kuchennym nad sekcyą etyki majstruje, czy przez rurę od barszczu analizuje tajemnice piękna, zawsze pozostaje stylowym, zawsze klerykalno-międzynarodowo-scholastyczno-reakcyjno-banalno-bizantyńsko-inkwizycyjnym. — Przypominają sobie zapewne czytelnicy garść uwag feljetonowych, poświęconych na tem miejscu przekładom Anakreonta, dokonanym piórem p. Ludwika Mizerskiego, radzcy konsystorza i posła do sejmu. Zwróciliśmy uwagę na ten wonny kwiatek, wyrosły na jałowej glebie poznańskiej, przyznaliśmy mu zapach i świeżość, lecz nikomu z nas nie marzyło się nawet, że w strofach p. Mizerskiego ukryta jest jakaś olbrzymia pochodnia rozwidniająca noc literatury naszej i zamieniająca blaskiem potężnym głuchą prowincyę w Ateny nad Wartą. A jednak tak mówi „Kuryer Poznański“, więc chyba to prawdą być musi. Odrodzenie świta już w mieście naszem i wkrótce tarcz swą słoneczną wytoczy, gdy p. Mizerski „przestanie więzić w tece swoje rymotwórcze igraszki“. Wtedy jasność wielka zapanuje w „nadwartańskim grodzie“ i wtedy — jak mówi „Kuryer“ — „niechybnie zanucimy poznańskim czarnowidzom na nutę walczyka: Nie mają racyi, nie mają, nie, co o Poznaniu gaworzą źle“. I więcej jeszcze. Nie dość, że krytyk wita w tłomaczu Anakreonta wręcz niezwykłe zjawisko w dziejach literatury, lecz szepce nam na ucho, że ten czarnoksieżnik nie jest bynajmniej takim bezwstydnym grzesznikiem, jakim niewątpliwie był pogański Anakreon. Dzisiejszy radzca konsystorski nie hołdował nigdy „ideałom burszowskim“, a wtedy nawet, gdy krew młodzieńcza w żyłach mu kipiała, „z hasła *Wein, Weib und Gesang* poszedł tylko za ostatnim akordem wcielając weń dwa poprzednie — *i miasto puścić wodze namiętnościom, jak inni jego rówieśnicy*, przyzywał na pomoc wyobraźni „*Anakreonteia Odaria*“ i odtąd codziennie dla własnej rozrywki ulatywał na skrzydłach motylków anakreonckich z przykrego otoczenia w wiecznie pogodną krainę ułudy“. No! więc i patent moralności otrzymał p. Mizerski w „Kuryerze“. Biedny poeta! Jaką mu niedźwiedzią przysługę wyświadczają ci konsystorscy przyjaciele! Jak tym przesadnym panegirykiem i beztaktowną, idyotyczną apologią jego cnotliwości dziewiczej ośmieszają utwór rzetelnego talentu. Ale tak się u nas piszą krytyki i tu ludzie śmią mówić o Atenach.

Mimo tej niewzruszonej „cnoty“ p. Mizerskiego, żal jednak było krytykowi, że radca konsystorski zbratał zię z lubieżnym Anakreontem. Kręci się Kuryerowy panegirysta, zaklina na wszystkie świętości, że sympatye lutni nie są sympatyami duchów, że tejski śpiewak, niefortunny kochanek Euripili, a tłomacz z konsystorza, to dwie całkiem odmienne wartości moralne, lecz wreszcie nie wytrzymał i takie wykrztusił ultimatum: „Nie możemy wcale uważać za wielkie szczęście dla naszych czasów, iż między tyloma klasycznemi dziełami literatury starożytnej przechowały się również anakreontyki; *świat nie straciłby zapewne tak wiele, a byłby mniej pogańskim, gdyby większa część klasyków poszła była z dymem.*“ Więc palmy! Palmy Homerów, Sofoklesów, Horaców, Anakreontów, Safony, Alceów, — palmy! Lecz cóżby na to powiedzieli owi papieże z czasów renesansu, którzy czcili i kochali literaturę i piękno heleńskie, którzy watykan zaludniali grecką nagością i zmysłową swawolą w marmury zaklętą. Tak! tam sztukę rozumieli i nie przykładali do niej miary starej dewotki, a dzisiaj nawet, gdy renesansowe zachwyty uleciały już z murów watykanu, krytyki Kuryerowej nie włączą zapewne do kodeksu estetyki swojej. Za to zasuszone bigotki odczytywać ją będą

pilnie ku umocnieniu dusz dziewiczych w cnocie.

„Das hat ka Schiller g'dicht, das hat ka Gooth' g'schrieb'n, das ist von ka Klassiker“, — bum! Tę piosenkę brukową ukuto chyba na cześć Kuryerowych krytyków, skazujących klasycyzm na stos i przypominających artystkom teatralnym, *„że studyowanie chodów wysokiej szkoły scenicznej nie byłoby może zbyteczne“*. Iście końska recenzya! Spiewajmy zatem, śpiewajmy: „Das hat ka Schiller g'dicht“ itd.

Oj! śpiewała i Warszawa, lubo z innego tonu, na cześć *Eusapii Palladino* w ubiegłym roku. Najpoważniejsi mężowie głowy potracili i palili wonne kadzidła przed „odźwierną świata duchów“, która za pomocą tajemniczych wierzgań, tąstań za brodę i spirytystycznych szturchańców dowodziła jak na dłoni, że cała nasza nauka jest haniebną blagą. Zamykali się w ciemnych pokojach, trzymali ją za ręce i nogi, a ona przy pomocy „duchów“ szczypała ich w nos. Prawa fizyki i mechaniki, cała logika, wiedza, — wszystko do góry przewrócone jednem szczypnięciem egzoterycznem, jednem tajemniczem szarpnięciem wąsów. I pisano, z panem Matuszewskim i Ochorowiczem na czele, całe tomy artykułów, zwiastujących nowe prawdy i nowych światów odkrycie. I prowadzono walki tak zacięte, że nieomal krew popłynęła. I wytoczono takie bateryе polemicznych gromów, że ziemia drżała jak w febrze. Ostatecznie Eusapiści tryumfowali, — nikt nie zdemaskował cudownego medium. Przebiegła Włoszka wyjeżdżała z Warszawy jak tryumfatorka, a wagon jej zasypano tylu bukietami, że gdyby nie „duchy służebne“, byłaby się udusiła biedaczka w tym potopie kwiatów. Niezręczne duchy! ocaliły ją przed śmiercią, a nie zdołały ją ocalić przed haniebną — klapą. Pojechała do Londynu uśmiechnięta, pełna nadziei i pewna zwycięztwa, wyjechała zdemaskowana, zdeptana, hańbą okryta oszustka. Anglicy nie żartują. Zabrał się do niej dr. Hodgson, wielki pogromca spirytystów, i pewnego wieczora odkrył kuglarstwa Neapolitanki. Na otarcie łez został jej jednak kapitalik, zebrany w Syrenim grodzie, a Warszawie wstyd i nauczka.

Taki koniec wzięła *Eusapiada*. Ale bohaterka jej była przynajmniej sprytną oszustką, która nietylko Prusów, Ochorowiczów, Siemiradzkich, lecz nawet zawodowych badaczy w rodzaju Cezara Lombrosa w pole wywiodła, — u nas w Poznaniu natomiast święcił równe nieomal tryumfy pospolity, ordynarny, niezręczny kuglarz *Czyński* z swojem medyum *„jasnowidzącem“*, swoją chiromancyą, astralnem ciałem i innemi szarlatańskiemi okkultyzmu. Tamta była w swojem rodzaju wyjątkowem zjawiskiem, ten był jarmarcznym oszustem, zdemaskowanym w Włocławku, święcącym tryumfy w Poznaniu. Jedno z pism naszych poświęcało przez cały miesiąc kilka łamów apoteozie szarlatana, dwa inne zachwycały się również jego „objawieniem“, — towarzystwa przemysłowe i kupieckie błagały go o odczyty, niektóre z domów arystokratycznych urządzały dla niego rauty, a dziś jeszcze dzwoni mi w uszach okrzyk publiczności, gdy na jednem z seansów zażądałem nieco bolesnej kontroli „jasnowidzącego“ medyum: „Nie potrzeba! Okrutny!“ A cóż dopiero prowincya? Tam zachwyt nie znał już miary. I koniec był taki, że Czyński, potężny czarnoksiężnik, objawiciel nowych prawd, przyjaciel duchów, duma w więzieniu, jako oszust skazany wyrokiem sądów, nad znikomością laurów poznańskich. *Finita la comedia!* Lecz przyjdzie nowy oszust i nowe rozpocznie się wieńczenie. Blaga i bezczelność z jednej strony, z drugiej miernota, obłuda, no! i — jakże się nazywa? — „ład i porządek“ liczyć mogą zawsze na wawrzyn — w Poznaniu. Nie! nietylko w Poznaniu, lecz u nas więcej, niż gdziekolwiek.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA

* **Pamiętniki Niemcewicza.** „Russkij Wiestnik“ drukuje w tłomaczeniu pamiętniki Juljana Ursyna-Niemcewicza, znanego poety i historyka. W roku 1794 Niemcewicz był adjutantem Kościuszki, i wzięty razem z nim do niewoli, więziony był czas jakiś w fortecy pietropawłowskiej. Referent Now. Wr.“ zaznaczając, że pamiętniki zawierają dość, rzeczy interesujących, przytacza następujący szczegół. Na zrobione Niemcewiczowi przy śledztwie zapytania, jaki cel miało powstanie, i co zamierzali zrobić polacy w razie pomyślnego rezultatu, odpowiedział: „Celem rewolucyi było wybawienie kraju od druzgocących go nieszczęść, zmuszenie wojsk obcych do opuszczenia granic i po oswobodzeniu postanowienie o dalszych jego losach. Marszałek Potocki, jenerał Kościuszko i wszyscy zdrowo patrzący na rzeczy — prawdopodobnie ofiarowaliby koronę wielkiemu księciu Konstantemu, pod warunkiem przyjęcia przezeń konstytucyi 3 maja i uroczystego zaprzysiężenia, że rząd nie będzie nadal mieszać się do wewnętrznych spraw kraju“. W pamiętnikach są bardzo wyraźne wskazówki ścisłego związku, jakie miały ówczesne ruchy w Polsce z działalnością paryzkich rewolucyonistów. „Jeden z uwięzionych, opowiada Niemcewicz, przywódców polskich, Mostowski, pozostający w ścisłej przyjaźni z Vergniaud, nie robił z tego tajemnicy i na śledztwie wyznał wszystko, co wiedział o rewolucyi. Sądził on mianowicie, że oswobodzenie Polski było na pierwszym planie rozległych zamiarów żyrondystów. Pomylił się wprawdzie, ale następne wypadki dowiodły, że komitet rewolucyjny we wszystkiem, co się nie tyczyło Polski, bez względu na nienawiść, zmiany, wznoszenie się i upadek partyi, w polityce zewnętrznej zawsze ściśle trzymał się szeroko zakreślonych i ambitnych planów Żyrondy. Już w roku 1792 były roztrząsane kwestye: podziału Włoch na drobne rzeczypospolite, o tem, żeby Ren był granicą Francyi, o uwolnieniu Holandyi od sztatudera i nawet o zagarnięciu Egiptu“.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne. Wiedeńska rada miejska powołała powtórnie p. Luegera na urząd nadburmistrza, a gdy Lueger oświadczył, że wybór przyjmuje, rozwiązał komisarz rządowy radę, z polecenia namiestnika. — W pruskiem ministerstwie oświecenia pracują obecnie nad projektem nowej taksy aptecznej. — Rozruchy na półwyspie bałkańskim spowodują niezawodnie wmieszanie się mocarstw europejskich do spraw tureckich. — Powstanie na wyspie Kubie trwa w dalszym ciągu. Hiszpanie ponoszą bezustanne straty w utarczkach podjazdowych. — Rosya po wyczerpaniu kredytu swojego w Francyi zwróciła swe starania o nową pożyczkę ku Berlinowi. — Według doniesień berlińskiego dziennika „Post“ etat ministerstwa wojny w głównych pozycyach ma być utrzymany na stopniu dotychczasowym. — Niemieccy fabrykanci cukru zamierzają utworzyć między sobą kartel celem podwyższenia premii wywozowej z 1,75 na 3 Mk.

Teatr i muzyka. W ubiegłą sobotę odegrano na scenie poznańskiej poraz pierwszy „Ciepłą wdówkę“ Bałuckiego. Sztuka pod względem techniki scenicznej posiada niewątpliwie zalety, pod względem charakterystyki jednak jest zlepkiem reminiscencyi z dawniejszych utworów a humor tam nieco bruaszny i wysilony. Z artystów występujących w „Ciepłej wdówce“ zasługują na uznanie panna Vernon, oraz pp. Wostrowski, Jakubowski Nowacki i Wojdałowicz. Ostatni szczególnie w epizodycznej roli poufałego hotelisty odznaczał się silną charakterystyką i porywającym humorem — W czwartek odegrano na scenie naszej jednoaktówkę Staszczyka p. t. „*Kościuszko w Petersburgu*“. Jedyną zaletą tej luźnej mozaiki kilku historycznych fakcików i anegdot jest tchnienie szczerego i gorącego patryotyzmu. Tego samego wieczoru wystawiono wesoły dyalog p. t. „*Staruszkowie w zalotach*“, odegrany po mistrzowsku p. pana Królikowskiego i panią Królikowską, oraz żywą, ruchliwą i szczerego humoru pełną komedyjkę Przybylskiego p. t. „Zjazd koleżeński“. Na wyszczególnienie zasługuje tu gra p. Knapczyńskiego. W antraktach odśpiewał p. Majdrowicz poprawnie pieśń „Torreodora“ i rzewną piosenkę „Do gwiazdy“, a p. Paszkowska wygłosiła „Hagara na puszczy“ i „Na sprowadzenie zwłok Napoleona“. W pierwszej deklamacyi raziło iście galopowe tempo, — druga natomiast pod względem siły i cieniowania zasługuje na szczere uznanie. — W poniedziałek rozpoczyna p. Kotarbiński szereg gościnnych występów na poznańskiej scenie. — Łódzki teatr Wiktorya zamierza wystawić sztukę węgierskiego autora Csikego p. t. „Bańki mydlane“, — Tow. muzyczne krakowskie urządza szereg koncertów historycznych (Bach, Mozart, Beethoven) z odczytami objaśniającemi. — Teatr lwowski wystawi niebawem operę Zeleńskiego p. t. Goplana. — Eleonora Duse zjeżdża w grudniu na szereg gościnnych występów do Wiednia. — W trupie Maurycego Gran, która odpłynęła do Nowego Yorku, znajdują się Reszkowie i Lola Beeth.

Odpowiedzi Redakcyi.

— **K. L.** w Bytomiu. Polecamy: 1) J. Morawskiego. Dzieje narodu polskiego. 6 tomów. Cena 18 mrk. (z wskazówką abecadłową 24 mk.) 2) Augusta Sokołowskiego: Dzieje Polski, ilustrowane. 30 zeszytów à 0,60 mr. Dotychczas wyszło zeszytów 9. 3) Teresy z Potockich Wodzickiej: Historya polska. Dotychczas wyszły dwa tomy. Cena 8,80 mr. Wszystkie książki powyższe nabyć można w księgarni A. Cybulskiego w Poznaniu, ul. św. Marcina 10. — Za uznanie serdecznie dziękujemy.

Od Administracyi.

W ubiegłym tygodniu otrzymało kilku abonentów podwójnie odbite numery Przeglądu. Administracya gotowa jest numery te wymienić. — Uprzejmie prosimy Czytelników naszych o łaskawe odstąpienie nam nr. 17-go z roku 1894 i nr. 44 z rb. (2 egz.) pisma naszego — za stosownem wynagrodzeniem.

Uzupełniając moją księgarnią i wszystko w zakres takowej wchodzące, — proszę Szanownych mych odbiorców i nadal łaskawie obdarzać mnie swem zaufaniem.

w Ostrowie. W. Niesiołowski.

Za redakcyą odpowiedzialny Dr. Wł. Rabski w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28.